

Sandra Field

Gorsząca propozycja

Tłumaczyła Małgorzata Fabianowska

Tytuł oryginału *The Mistress Deal*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Za drzwiami czekał nieprzyjaciel.

Lauren Courtney wzięła głęboki oddech i nerwowo obciągnęła spódniczkę. Ten facet miał dowody — z pewnością sfabrykowane! — na paskudny przekręt, dokonany przez jej ukochanego ojczyma. Czy Wallace Harvarson mógł być kłamcą? Oszustem? Wykluczone, prędzej uwierzy, że słońce wschodzi na zachodzie!

Jednak Reece Callahan, właściciel wielkiej spółki telekomunikacyjnej i medialnej, której siedziba znajdowała się w lśniącym wieżowcu w Vancouver, wyraźnie wierzył, że słońce może wstawać na zachodzie. Lauren miała go przekonać, że jednak się myli. Musiała bronić dobrego imienia Wallace'a, zwłaszcza teraz, gdy był już w grobie i nie mógł bronić się sam. Posłużyła się podstępem, aby wedrzeć się do chronionego imperium wroga.

Kontrolnie zerknęła na swoje odbicie w lustrzanych szybach i poprawiła węzeł kasztanowych włosów, luźno zwinięty na karku. Miała na sobie wytworną garsonkę grafitowego koloru. Rozcięcie spódnicy odsłaniało smukłe nogi. Oficjalny styl łagodziła biała bluzka z burzą drobnych falbanek. Całości dopełniały włoskie pantofle, srebrna biżuteria i wyrazisty makijaż. Uznała, że nie prezentuje się źle, choć w normalnych okolicznościach nie włożyłaby biurowego grafitu. Woląa cieplejsze kolory.

Dziewczyna z recepcji otworzyła przed nią ozdobne dębowe drzwi.

— Panie Callahan, panna Lauren Courtney — oznajmiła z profesjonalną uprzejmością.

Zaledwie Lauren znalazła się w gabinecie, Callahan wstał zza potężnego mahoniowego biurka i ruszył ku niej z wyciągniętą dłonią.

— Czuję się zaszczycony, panno Courtney. W zeszłym roku byłem na otwarciu pani galerii na Manhattanie i kupiłem dwie piękne rzeźby, lecz z powodu spóźnienia nie doznałem zaszczytu, by zostać pani przedstawiony — powiedział gładko.

Uścisk dłoni miał mocny, zdecydowany, lecz uśmiech blady. Zimne spojrzenie niebieskich oczu nie złagodniało ani na moment. Przystojne rysy twarzy były rzeźbione śmiały, prostymi pociągnięciami, zwłaszcza zarys szczęki, męski i twardy, jak u kowboja. Arogancko wystające kości policzkowe nadawały tej twarzy wyzywający wyraz, który Lauren instynktownie zapragnęła uwiecznić. Gęste włosy były nienagannie ostrzyżone, choć widać było, że przy najmniejszym zaniedbaniu wróciłyby do przyrodzonego nieładu. Miały mahoniowy odcień, jak

jego pięknie błyszczące biurko.

Chłodny facet. Twardy facet. Zero sentymentów, zero współczucia... a przecież do tych uczuć naiwnie zamierzała się odwołać. Stanowiły jej jedyną broń w rozgrywce z tyra mężczyzną, który górował nad nią jak złowroga wieża. Jeszcze nigdy nie musiała spoglądać tak wysoko, by zajrzeć komuś w twarz. I dawno nie czuła się tak mała i nic nieznacząca.

Lauren wyprostowała się dumnie, jak przystało wojownicze w obliczu śmiertelnego wroga. Rozplotła nerwowo zaciśnięte palce i odezwała się chłodno:

— Mam nadzieję, że nadal podobają się panu te rzeźby?

— Oczywiście. Bardzo lubię brąz, a pani prace są naprawdę niezwykle.

Zdziwiła się, że zdawkowy komplement sprawił jej aż taką przyjemność.

— Dziękuję.

— Lubię dobrze inwestować pieniądze — ciągnął z uśmiechem. — A ceny pani dzieł szybko rosną.

Uśmiech Lauren przygasł momentalnie.

— Kupuje pan je dla zarobku?

— Czemu nie?

— Nie działa na pana sztuka? Zaśmiał się krótko, cynicznie.

— Trafiała pani na niewłaściwego faceta.

Wszystko jasne, pomyślała, choć dobrze, że przynajmniej nie udaje. Reece Callahan, twardy biznesmen, bez duszy i sentymentów.

— Proszę usiąść. Napije się pani kawy?

— Nie, dziękuję. — Usiadła z gracją w skórzanym fotelu, dystyngowanie krzyżując nogi.

— Przyznam, że dostałam się do pana podstępem, a moja wizyta nie ma towarzyskiego charakteru.

— Pani mnie zdumiewa, panno Callahan — stwierdził, przyjmując chłodny ton rozmowy o interesach. — W takim razie proszę przejść do rzeczy, bo niedługo mam do podpisania ważny kontrakt i wolałbym się nie spóźnić.

— Doszły do mnie plotki... bardzo niesmaczne. Chcę od pana zapewnienia, że to tylko pogłoski. Kiedy to usłyszę, już mnie pan tu nie zobaczy.

— Proszę mi wierzyć, mam ważniejsze rzeczy na głowie niż rozsiewanie fałszywych pogłosek — zachnął się. — Nigdy nie stosowałem takich tanich chwytów.

— Słyszałam, że ma pan zamiar opublikować dowody, które uczynią z Wallace'a Harvarsona aferzystę — powiedziała oskarżycielsko Lauren, kurczowo ściskając torebkę. — Nie może pan mieć takich dowodów.

— Jest pani pewna?

— Wallace był moim ojczymem, niezwykle uczciwym człowiekiem, którego kochałam i ceniłam.

— To tylko dowód, jak bardzo jest pani naiwna. Lepiej niech pani dalej zajmuje się rzeźbą, a nie oceną ludzkich charakterów.

— Znałam go bardzo dobrze!

— Ale nie przyjęła pani jego nazwiska?

— Był drugim mężem mojej matki — powiedziała sztywno. — Ojciec umarł, kiedy miałam trzy latka. Gdy skończyłam dwanaście lat, mama wyszła za Wallace'a, ale znali się dużo wcześniej. Zapewne wie pan, iż Harvarson zmarł czternaście miesięcy temu i w związku z tym nie może bronić swojego dobrego imienia przed idiotycznymi i kłamliwymi zarzutami. Postanowiłam więc zrobić to za niego.

— Wolno spytać, jaką formę przybierze pani obrona? — zagadnął z przekąsem.

Pochyliła się ku niemu i powiedziała z żarem:

— Zdecyduje moja znajomość tego człowieka. Przez dziewiętnaście lat był mi bardzo bliski i uważam, że w żadnym wypadku nie można go posądzać o kłamstwo, matactwo i kradzież pieniędzy.

— Droga panno Courtney! Pasja, z jaką pani go broni, jest po prostu wzruszająca. Osobiście dołożyłbym jeszcze parę łez, lecz to marny argument dla sądu. Za tydzień ujawnię publicznie niezbite dowody winy Wallace'a Harvarsona, występując w imieniu jednej z naszych firm. Nie mogę sobie pozwolić, by w moim środowisku postrzegano mnie, jako nieuczciwego aferzystę, a takie właśnie dziedzictwo zostawił mi pani świętej pamięci ojczym.

Lauren była w szoku.

— Ogłosić publicznie?! — wyjąkała. — Pan nie może tego zrobić!

— Mogę i zrobię — odparł chłodno, ostentacyjnym gestem odsłaniając złoty zegarek na przegubie.

Lauren zerwała się z fotela płynnym ruchem rozdrażnionej pantery.

— Jeżeli rzeczywiście poda pan do publicznej wiadomości tę ohydną potwarz, oskarżę

pana o zniesławienie dobrego imienia Wallace'a Harvardsona.

— Radzę tego nie robić, bo skompromituje się pani w sądzie. A pomyślała pani o kosztach?

— Czy wszystko w pana życiu sprowadza się tylko i wyłącznie do pieniędzy?

— Ależ w tym przypadku chodzi właśnie o pieniądze, ustaliłem bowiem, że Harvardson wypompuwał z mojej firmy pięćset tysięcy dolarów.

— A czy nie jest przypadkiem tak, parne Callahan, że koszty swojej błędnej decyzji handlowej usiłuje pan przerzucić na zmarłego, czyniąc z niego ofiarnego kozła, bo nie może się bronić? — zaatakowała.

— Niech tylko pani spróbuje ogłosić to publicznie, a pożałuje pani — ostrzegł tonem, w którym zabrzmiała stal. — A teraz musimy się już pożegnać. Sekretarka odprowadzi panią.

— Nie wyjdę, dopóki nie obieca pan, że nie będzie mieszał z błotem imienia mojego ojczyma.

— Trzeba przyznać, że nie brak pani tupetu, panno Callahan. Przypadkiem wiem, że kupiła pani pracownię rzeźbiarską za pieniądze ze spadku po ojczymie, a ponadto ma pani ładną posiadłość u wybrzeży Maine, która wcześniej należała do niego.

Mózg Lauren ruszył na przyspieszonych obrotach.

— Pan wiedział, że jestem pasierbicą Wallace'a?

— Oczywiście, że tak. Z zasady sprawdzam artystów, w których inwestuję, co nie powinno dziwić w przypadku biznesmena, prawda?

— Obrzydliwe! Od początku tej rozmowy grał pan ze mną nieczysto!

— Niech pani nie próbuje epatować mnie tą pozą oburzonej szlachetności, skoro sama pani ciągnie profity z fortuny ojczyma, zdobytej w podejrzany sposób. Gdyby nie ona, podejrzewam, że do dziś byłaby pani głodującą artystką, mieszkającą na dziurawym strychu.

Lauren wiedziała, że znienawidzi siebie za to, co musi teraz zrobić, lecz nie miała wyboru.

— Co mam uczynić, aby pan zmienił decyzję? — zapytała zdławionym głosem.

— Nic.

— Musi być coś...

W oczach Reece'a pojawił się podejrzany błysk.

— Dziwię się, że przy swojej reputacji nie zaoferowała mi pani tego, co oczywiste.

Rumieniec oblał twarz Lauren.

— Ma pan na myśli moją seksualną reputację, tak?

— Nie zaprzeczam.

— A więc i to pan wyniuchał — warknęła. — I tak jak wszyscy, wierzy pan każdemu słowu, które wydrukowały o mnie brukowce. Podłe bzdury, które mój były guru, Sandor, podrzucił znajomym dziennikarzom. Któż niedawno zapewniał mnie, że nie wierzy w plotki?

— Sandor jest znaną i szanowaną postacią.

— A ja byłam tylko głupim dziewczęciem, zafascynowanym wielkim Sandorem, naiwną smarkulą z gatunku tych, które uwielbia kolorowa prasa. Jak pan myśli, czemu poniżam się i błagam, aby pan nie rzucał Wallace'a na żer mediom? Właśnie dlatego, że zdaję sobie sprawę z ich niszczącej potęgi. Dobrze wiem, jak potrafią zrujnować czyjąś reputację.

— Kiedy w zeszłym roku przyjechałem do pani galerii, wymknęła się pani drugimi drzwiami. W asyście dwóch mężczyzn. Naprawdę trudno uwierzyć, że plotki o pani obyczajach są tylko zemstą eks kochanka.

Lauren z wysiłkiem wyprostowała ramiona, jakby przygniatał je ogromny ciężar.

— Nie przyszedłam tutaj, żeby bronić się przed podłym męskim szowinizmem — powiedziała niskim głosem. — Ani po to, żeby zaproponować panu, że się z nim prześpię w zamian za odwołanie oskarżenia.

— Dlaczego pani nie oskarżyła Sandora o tak podłe kłamstwa? — odparował.

— To było cztery lata temu, a mnie udało się sprzedać tylko dwie rzeźby i bałam się, że na tym zakończę swoją rzeźbiarską karierę. Ale wbrew temu, co pan uważa, panie Callahan, mam swoją dumę i uczciwość, które zabraniały mi pożyczania pieniędzy od Wallace'a. Nie miałam ani centa, taka prawdziwa głodująca artystka. A prawnicy są drodzy, jak panu wiadomo.

— Rozumiem. — Reece wbił ręce w kieszenie i zmierzył taksującym spojrzeniem jej postać.

Lauren wzdrygnęła się wewnętrznie. Miała wrażenie, że te oczy, błękitne jak lód, potrafią przejrzeć ubranie na wylot i zobaczyć ją nagą. Ale szkoła Sandora zrobiła swoje. Nie była już naiwnym dziewczęciem. Bojowo uniosła podbródek i odpowiedziała walecznym spojrzeniem spod zmrużonych powiek.

— Nie ubiera się pani tanio — rzucił niedbałym tonem.

— W Greenwich Village są sklepy z przecenioną markową odzieżą. Często je

odwiedzam— wyjaśniła swobodnie.

— Aha. — Callahan oparł się o biurko, zbliżając twarz do jej twarzy. — Właśnie zastanawiam się, czy jednak nie zmienić zdania.

— Uwierzy pan, że mówiłam prawdę o Wallasie? — ożywiła się w nagłym błysku nadziei.

— Skąd, nie o to chodzi. Ale jest coś, co może pani dla mnie zrobić.

Radość znikła z jej twarzy.

— A w zamian zrezygnuje pan z publikacji na temat mojego ojczyma?

— Zrezygnuję.

— Nie pójdę z panem do łóżka, panie Callahan — oświadczyła twardo i dobitnie.

— Wcale pani o to nie proszę, panno Courtney. Chcę tylko, aby była pani do mojej dyspozycji przez cały następny tydzień, nim wyjadę do Londynu i Kairu. Do tego czasu mam wiele spotkań, w czasie, których czysty biznes miesza się z czystą przyjemnością. Nie lubię załatwiać spraw w ten sposób, ale nie mam wyjścia. Jak się pani domyśla, chciałbym, aby wystąpiła pani w roli mojej towarzyszkii, czy raczej kochanki, mówiąc bez ogródek. Nie będzie to chyba zbyt trudne zadanie?

— Jestem artystką, a nie luksusową dziwką — Lauren groźnie się najeżyła.

— Chce pani chronić dobre imię ojczyma, czy nie? — Głos miał rzeczowy, pozbawiony emocji.

— Nie może pan sobie zamówić kogoś bardziej odpowiedniego?

— Interesuje mnie tylko pani, bo ma pani pozycję w świecie sztuki, jest pani wszechstronnie utalentowana, inteligentna, obyta, elegancka i całkiem niebrzydka, czyli w sam raz dla prawdziwego profesjonalisty. Więc jak, panno Courtney, układ stoi?

Ach, ty nędzna kreaturo! — zaklęła w duchu. Nie była ot, tak sobie niebrzydka, tylko piękna. Mogła chwalić się swoją urodą bez fałszywej dumy, bo potwierdzało ją nie tylko lustro, ale i wszyscy naokoło. Lecz dla tego faceta, w którego żyłach płynął lód, była zaledwie niebrzydka. Pomyślała o Wallasie, o jego olśniewającym uśmiechu i zaraźliwym humorze. O wyczekiwanych wizytach, w czasie, których mogła się wyzalić na cały świat. Matka była jawnie zazdrosna o rozkwitającą urodę córki, a jej trzeci mąż nie chciał dostrzegać rodzącego się talentu dziecka. Młodzieńcze lata, spędzone z nimi, były dla Lauren udręką. Urwała się z domu w tydzień po maturze. Potem, gdyby nie Wallace, naprawdę przymierałyby głodem, rzeźbiąc

całymi godzinami na strychu i studiując w szkole sztuk pięknych. Była silna i słaba zarazem, twarda i delikatna, co wykorzystał Sandor. Nie była to jednak chwila, aby myśleć o tym bydlaku. Musiała być ostrożna.

— Rozumiem, że przez tydzień mam być pana kochanką — podsumowała. Tak jak on wcześniej, omiotła spojrzeniem jego drogi garnitur i jedwabny krawat z godłem snobistycznej uczelni. — Nie jest pan w moim guście, ale podejrzewam, że niejedna kobieta byłaby gotowa przymknąć oczy na paskudny charakter, zauroczona majątkiem i pozycją. Oczywiście nie wierzę, by wybrał pan mnie z nagłego porwywu serca, więc zastanawiam się, czemu tak naprawdę mam panu pomagać?

Roześmiał się nagle, co tylko zaogniło jej złość.

— Co za jadowita osóbką!

— Tym bardziej się zastanów!

— Spokojnie, poradzę sobie. Bywałem w gorszych sytuacjach, wierz mi.

Niepostrzeżenie przeszli na ty, co całkiem zrozumiałe, skoro i tak miała być jego kochanką. Lauren postanowiła wsadzić szpilę temu arogantowi.

— Zapomniałeś o czymś, mój drogi, a to w twoim fachu wielki, wręcz niewybaczalny grzech — oznajmiła słodko. — Masz nazwisko i pieniądze, twoja firma wdraża nowe pomysły, które przynoszą ci krocie, a twoje akcje idą w górę. Tak, tak, jak też mam swój wywiad — uśmiechnęła się, widząc, jak drgnęła mu brew. — Natomiast ja zrobiłam w zeszłym roku dużą wystawę w Londynie, a w Stanach idzie mi coraz lepiej, nie jestem więc nikim. Jeżeli oficjalnie wystąpimy jako kochankowie, prasa będzie miała wielki dzień. Ruszy lawina plotek, pięknych plotek. Paskudnych plotek. Coraz paskudniejszych plotek, aż do wyczerpania tematu.

— A zatem twoja odpowiedź brzmi „nie”? — Reece zrobił ruch ku drzwiom. — W takim razie nie zapomnij w środę kupić gazety. Będiesz mogła sobie poczytać o drugiej, prawdziwej twarzy ukochanego ojczyma. I wierz mi, w tym wypadku nie będą to plotki.

Lauren ostatecznie zrozumiała, że musi tańczyć tak, jak jej zagra Reece Callahan. Było to na wyraz przykre, ale taka była prawda. Nie miała wątpliwości, że gdyby nawet odmówiła i jakimś cudem zdołała wygrać proces, sprawa i tak trafiłaby do prasy, a do reputacji Wallace'a na zawsze przylgnąłby brud. Stłumiła westchnienie.

— Powiedz, czego dokładnie chcesz ode mnie.

— Zamieszkaś w moich apartamentach przy Stanley Park. W sobotę pójdziesz ze mną

na kolację. Jeden z moich dyrektorów wytrwale hodzi o złudzenia, że jego córka będzie dla mnie świetną partią. Twoja obecność u mego boku szybko go tych złudzeń pozbawi. W niedzielę mamy prywatne party u kogoś, kogo chciałbym mieć w swojej radzie nadzorczej. Problem w tym, że jego połowica bardziej interesuje się mną niż karierą męża. Musisz jej dać do zrozumienia, że złapałaś mnie i już nie puścisz. Dwa dni później polecimy do mojej rezydencji w Whistler. Rzadko tam bywam o tej porze roku, bo służy mi głównie w lutym, jako narciarska baza wypadowa. Tym razem jednak będę omawiał interesy z japońskimi specami od oprogramowań komputerowych, a ty w tym czasie będziesz zabawiała ich żony. Następny, a zarazem ostatni punkt programu, to jachtklub na wyspie Vancouver, gdzie mam rozmowy z kooperantami. Kiedy to załatwimy, będziesz wolna. Razem osiem dni, nie licząc jutra.

W Lauren mimo woli obudził się duch przygody i już nie dał się stłumić. Słyszała o Whistler, luksusowym rajem narciarskim na północ od Vancouver. Nie była nigdy na Vancouver Island, osadzonej jak zielony klejnot w wodach Pacyfiku. Musiała się mocno starać, by zachować obojętny wyraz twarzy.

— Rozumiem — powiedziała służbowym tonem. — Jesteś wpływowy i bogaty, więc masz problemy z nadmiarem kobiet, które polują na ciebie.

Reece kpiąco uniósł brew.

— Ryzyko zawodowe i tyle.

Mało brakowało, a odpowiedziałaby mu porozumiewawczym uśmiechem. Po raz pierwszy poczuła coś w rodzaju sympatii dla tego faceta. Lepiej, żeby się tego nie domyślił. Na wszelki wypadek przybrała jeszcze bardziej oficjalną minę.

— Chciałabym jasno określić pewną sprawę — zaznaczyła z naciskiem. — Ja na ciebie nie poluję i obojętne mi jest, jakimi sumami obracasz. Moim zadaniem jest stworzyć wiarygodne pozory przed całym światem, że jesteśmy w sobie zakochani do szaleństwa, i ja to wykonam, natomiast żądam pokoju dla siebie i gwarancji, że moja prywatność nie zostanie naruszona.

— Gwarantuję ci, że nie będzie żadnych problemów — zapewnił Reece dziwnie gładko.

Więc jej uroda wcale na niego nie działa, a w dodatku zupełnie się z tym nie kryje. Z trudem stłumiła irytację.

— Wymagam również, abyś podpisał oświadczenie, że nigdy, bezpośrednio ani pośrednio, nie znieważysz imienia mojego ojczyma.

— Oczywiście pod warunkiem, że ty też dotrzymasz kontraktu — odparł.

Turkusowe spojrzenie Lauren spłynęło jak morska fala po twardej rzeźbie jego rysów.

— Dotrzymam. Obiecuję.

— Okay — skwitował z satysfakcją. — Uzpełnieniem naszej zasadniczej umowy będzie również twoje zobowiązanie, że pod żadnym pozorem i w żadnej formie, pod swoim imieniem lub jako „dobrze poinformowane źródło”, nie będziesz rozmawiała o nas z mediami. Jutro o trzeciej w biurze będą czekały papiery gotowe do podpisu. Przyjedź do mojego apartamentu o dziesiątej wieczorem.

— A jednak czegoś nie dopatrzyłeś — powiedziała złośliwie. — Twoja sekretarka będzie wiedziała, że nie jesteśmy kochankami. Przecież zorientowała się, że poznaliśmy się dopiero dziś rano.

— Dostaje specjalny dodatek za dyskrecję i na pewno nie chce go stracić, wraz całą pensją oczywiście.

— W takim razie żegnam, panie Callahan. Nie powiem, że było mi miło.

— Nie przeciągaj struny, jeszcze nie podpisaliśmy umowy — ostrzegł z niebezpiecznym błyskiem w oku.

— Mam nadzieję, że jeśli Wallace patrzy na nas z nieba, cieszą go moje dziwaczne poczynania — podsumowała z dłonią na klamce.

— Kłamcy i defraudanci nie idą do nieba — odgryzł się. Lauren otworzyła drzwi, aby sekretarka do woli mogła nacieszyć się piękną sceną. Wspięła się palce i czule pocałowała Reece'a w oba policzki.

— W takim razie ty też nie masz szans — syknęła, uśmiechając się słodko. — Pa!

Idąc do windy, z satysfakcją usłyszała wściekłe trzaśnięcie drzwi Tyle przynajmniej osiągnęła.

ROZDZIAŁ DRUGI

Charlotte Bond, powszechnie znana, jako Charlie, zrobiła wielkie oczy.

— Na co się zgodziłaś?

— Przecież mówię — zniecierpliwiła się Lauren. — Zgodziłam się odegrać rolę oficjalnej kochanki Reece’a Callahana. Na szczęście tylko przez osiem dni.

— Lauren, byłam na randce z Reece’em. Dwa razy. Ten facet gra tylko o wielkie stawki, a zamiast serca ma zardzewiałą bryłę żelaza.

— Dlaczego więc spotkałaś się z nim aż dwa razy? Gorzki uśmiech przemknął przez drobną buzię Charlie.

— Bo nie mogłam uwierzyć, że ktoś tak cholernie męski i atrakcyjny może być zimny jak lodowiec.

— Potraktowałaś to jak wyzwanie?

— I sromotnie przegrałam. — Charlie smętnie pokiwała głową i zerknęła spod oka na przyjaciółkę. — A przecież mieliśmy sporo wspólnego.

Charlie była jednym z najwyżej cenionych konsultantów podatkowych w kraju. Jej logiczny, wręcz komputerowy umysł był antytezą rozwichrzonego, artystowskiego myślenia Lauren. Ich przyjaźń trwała na zasadzie opozycji i przeszła nawet taką próbę, jak przeprowadzka Charlie z Nowego Jorku na zachodnie wybrzeże Kanady, co miało miejsce ostatniego lata.

— Sama więc rozumiesz — stwierdziła Lauren — że nie muszę niczego się obawiać, skoro Reece jest wstrętną zimną rybą. Nie ma szans, żeby stracił dla mnie głowę, czy nawet tylko zaczął pożądać, bo takie emocje nie leżą w jego naturze. Szybko odegramy parę kochanków, a potem każde pójdzie swoją drogą i już się nie spotkamy, zaś dobre imię Wallace’a zostanie ocalone.

Charlie przygryzła wargi.

— Cholera, to wszystko moja wina. Nie doszłoby do tego, gdybym niechętnie nie wspomniała Reece’owi nazwiska twojego ojczyma, kiedy mówiliśmy o firmie zajmującej się oprogramowaniami komputerowymi, dla której pracował. Wtedy zrobił mi wykład o Harvarsonie i kazał mieć oko na wszystko, co się z nim wiązało. A nie były to wiadomości, które stawiały Wallace’a w dobrym świetle. Wtedy zabrzmiały mi w głowie dzwonki alarmowe i zadzwoniłam do ciebie.

— I tak miałyśmy się spotkać — zbagatelizowała Lauren. — A ja się cieszę, że wreszcie zobaczę zachodnie wybrzeże i przez tydzień będę się pławić w miliarderskim luksusie, wsiadać do prywatnego odrzutowca, aby wylądować w pięciogwiazdkowym hotelu czy w rezydencji z marmurami. Po tylu latach liczenia się z każdym złamanym centem!

Ale Charlie nie rozchmurzyła się.

— Wszystko dobrze, dopóki nie zrobi ci krzywdy.

— Kto? Reece Callahan? — prychnęła Lauren. — Nie ma szans. Czy mówiłam ci, że zakupił moje dwie najlepsze prace w brązie, jako inwestycje? Co za ironia, że trafiły do człowieka, który za nic ma ich artystyczną wartość, a myśli tylko, za ile kiedyś je sprzeda. A ty się martwisz, że mogłabym się w nim zadurzyć! Absurd.

Charlie z westchnieniem pokręciła głową.

— Co za szkoda, że pan Bóg wsadził tak pokretny umysł w tak wspaniałe ciało.

— Wspaniałe jako model dla artysty, ale żeby zaraz do łóżka? — skrzywiła się Lauren — Już dawno zapomniałam, jak to jest. Przecież wiesz, że żyję jak mniszka.

Jej przyjaciółka pociągnęła głęboki łyk chardonnay, uciekając spojrzeniem w bok.

— Czy jesteś całkowicie przekonana o niewinności Wallace'a?

— No jasne!

— Powiedziałaś mi kiedyś, że zostawił ci w spadku mniej, niż obiecywał.

— Owszem, to prawda. Zwłaszcza zależało mi na biżuterii mamy, lecz w ogóle nie było o niej mowy. Ale sama wiesz najlepiej, że jeśli ktoś prowadzi grę na rynku, miewa wzloty i upadki. Nie znaczy to jeszcze, że wplątał się w jakąś aferę.

— Nigdy ci się nie zwierzał?

Lauren spoważniała i namyślała się przez chwilę, marszcząc brwi.

— Nie rozmawialiśmy o interesach. — Jej spojrzenie zamgliło się nagłym wspomnieniem. — Był zawsze na luzie, śmiał się, dowcipkował. Och, nie masz pojęcia, jak bardzo mi go brakuje.

— Mmm... — Charlie szybkim gestem przeczesła gęstwę jasnych loków. — W każdym razie proszę, żebyś uważała na siebie przez te osiem dni, które spędzisz z Callahanem. I czytaj wszystko, co ci podsunie, zanim podpiszesz, bo z wami, artystami, różnie bywa, a Reece to naprawdę podstępny, zimny gad.

— Dobrze, staruszko — uśmiechnęła się Lauren.

— W takim razie możemy iść na kolację. Nie mam ochoty nic pić. Podobno w okolicy otworzyli fenomenalną czeską knajpę.

— Świetnie, ale pod warunkiem, że nie padnie ani razu nazwisko Callahan.

Dotrzymały słowa.

Nazajutrz, dokładnie o trzeciej po południu, Lauren stanęła przed biurkiem sekretarki Reece'a. Październikowy dzień był wyjątkowo ciepły, nałożyła, więc szykowną, Inianą ciemnoniebieską sukienkę z długim rękawem. W uszach tańczyły złote kolczyki w kształcie kół, które dostała od Wallace'a na osiemnaste urodziny. Gładko szesane włosy spięła złotą klamrą. Oczy, obramowane wyrazistym makijażem, w połączeniu z głęboką barwą sukienki, nabrały intensywnego odcienia indygo.

— Proszę poczekać, panno Courtney, pan Callahan przyjmie panią za chwilę — poinformowała uprzejmie sekretarka.

Ma wystawać przed jego gabinetem jak pierwszy lepszy petent? Jak pacjentka u dentysty? Co za bezczelność. Niedoczekanie! Nerwy miała zbyt napięte, by usiąść, po prostu ją nosiło.

— Nie sądzę, żeby pan Callahan kazał mi na siebie czekać — powiedziała z bojowym błyskiem w oku. — Wejdę do niego od razu.

— Ale...

Lauren już naciskała klamkę. Reece uniósł głowę znad ekranu komputera i spojrzał na nią z irytacją.

— Cześć, kochanie — powitała go przymilnie. — Wiem, że nie chciałbyś, abym czekała, więc weszłam. — Zaledwie zamknęła za sobą drzwi, jej uśmiech nabrał szatańskiej przewrotności.

— Jeśli masz wejść w rolę, natychmiast się naucz, że nie należy mi przeszkadzać — warknął.

— Ależ, kochanie — zagruchała z uciechą, wachlując rzęsami przedłużonymi maskarą — przecież nie wyrzucisz swojego drogiego maleństwa!

Przestraszyła się, bo myślała, że wybuchnie furją, lecz po chwili dostrzegła w jego oczach błysk rozbawienia i czegoś jeszcze, wielce niepokojącego, podszytego skrywaną emocją. Cokolwiek to było, szybko znikło pod oficjalną maską.

— Nie czas na żarty, Lauren — powiedział, wstając zza biurka. — Na wypadek, gdybyś

przypadkiem zapomniała, przypominam ci, że mam dowody przeciwko Wallace'owi i nie omieszkam ich wykorzystać w razie potrzeby. Radzę, więc słuchać, a nie próbować się szarogęsić. Lauren buntowniczo uniosła podbródek.

— Nie lubię, kiedy ktoś mówi mi, co mam robić.

— Będziesz musiała się przyzwyczaić.

— Ty też chyba o czymś zapomniałeś, Reece. Nasz układ powinien być wzajemny. Ty chcesz czegoś ode mnie, a ja od ciebie, więc musimy działać jak partnerzy.

— Pierwsza zasada korporacyjna: w firmie nie może być dwóch szefów — zauważył cierpko.

— Nie rozmawiamy o korporacji, tylko o miłości od pierwszego wejrzenia. O pasji, zachwycie i pożądaniu, a tu panują zupełnie inne reguły, drogi panie prezesie — podkreśliła z dobrze udawaną wyższością.

— Rozumiem — zgodził się dziwnie łatwo. — W tej dziedzinie masz, jak się zdaje, spore doświadczenie.

— Jak śmiesz znów mi to wypominać! — zaczerwieniła się ze złości.

— Naprawdę ślicznie wyglądasz, kiedy się wściekasz — zauważył z satysfakcją. — Ciekawe, jak wyglądasz, kiedy się kochasz?

— Nigdy się nie dowiesz!

Reece jednym krokiem znalazł się przy Lauren i zamknął ją w stalowym uścisku ramion.

Lauren zeszywniała. Charlie miała rację, ten człowiek jest naprawdę niebezpieczny.

— Przyszłam tutaj, żeby podpisać kontrakt, a nie po to, żeby facet o emocjach z lodu demonstrował mi, jaki jest namiętny — wypaliła.

Reece puścił ją równie nagle, jak chwycił.

— Wiesz, co ci powiem? — dodała w nagłym przypiływie intuicji. — Nie jesteś przyzwyczajony do ludzi, którzy mają śmiałość ci się sprzeciwić. Zwłaszcza jeśli są to kobiety. Założę się, że stale masz wokół siebie chór obślizgłych potakiwaczy.

— A ty masz wokół siebie tłum facetów, którzy na ciebie lecą i chłoną każde twoje słowo, bylebyś tylko wpuściła ich do swojego łóżka.

Drażnił ją potwornie, ale musiała powściągnąć nerwy.

— Reece, proszę, przestań — powiedziała pojednawczo. — Nie będziesz chyba zajmował się grzebaniem w mojej pościeli? To byłoby nudne.

— Okay, przejdźmy do rzeczy. — Znużonym gestem sięgnął do szuflady biurka i wyjął dwa spięte pliki dokumentów. — Przeczytaj to — rzekł. — Są dwa egzemplarze umowy, jeden dla ciebie, drugi dla mnie. Sekretarka poświadczy nasze podpisy.

W starannie zredagowanym prawniczym językiem dokumencie stwierdzono, że Lauren Courtney zobowiązuje się przez osiem dni publicznie asystować Reece'owi Callahanowi jako oficjalna kochanka. Obie strony obowiązuje pełna dyskrecja na temat istnienia i warunków niniejszej umowy. W zamian Reece Callahan zobowiązuje się nigdy nie opublikować najmniejszej wzmianki o Wallasie Harvarsonie, ojcymie wymienionej wcześniej Lauren Courtney.

Lauren zapoznała się z treścią i nie doszukawszy się żadnych nieprawidłowości, skinęła głową.

— W porządku, mogę podpisać — powiedziała z dobrze udawanym spokojem.

Reece przysłonił dokumenty innymi, aby widać było tylko dół strony, i nacisnął brzęczyk. Po chwili zjawiała się panna Riley.

— Shirley, chcę, abyś asystowała przy składaniu przez nas podpisów — powiedział. — Lauren?

Dopiero teraz dotarło do niej, że jeśli podpisze, znajdzie się praktycznie na łasce człowieka, którego nie zna i przed którym została ostrzeżona. Co będzie, jeśli zabierze się do niej, kiedy tylko przekroczy próg jego apartamentu? A jeśli nie wytrzyma ośmiu dni niewoli i ucieknie, ten szantażysta opublikuje stek podłych bzdur na temat Wallace'a! Słodki Boże...

— Lauren? — ton Reece'a stał się natarczywy. — Musisz podpisać w dwóch miejscach.

Tak, panie prezesie, pomyślała z rozpaczą, drżącą ręką biorąc od niego platynowe pióro i podpisując oba egzemplarze. Patrzyła, jak Reece zamasyście stawia nieczytelne zakrętasy, a na końcu sekretarka potwierdza wszystko nieskazitelnym, równym pismem. Wychodząc z gabinetu, po raz pierwszy unikała spojrzenia Lauren.

Stało się. Sama skazała się na zgubę.

— To jest zwykła okresowa umowa — odezwał się z irytacją. — Nie patrz więc na mnie, jakbym porywał cię podstępem do haremu.

Lauren przeklęła zdradziecki rumieniec.

— Byłeś kiedyś żonaty?

— Chyba żartujesz?

— Odpowiedz tylko: tak czy nie.

— Nie.

— Ja też nigdy nie wyszłam za mąż. Sandor był ponad to i nie uznawał mieszczańskich przesądów...

— Wybacz, moja droga — uciął chłodno Reece — ale w kontrakcie, który podpisałaś, nie było nic na temat osobistych zwierzeń.

— Czy ty potrzebujesz kontraktu, żeby zachowywać się jak czujący, żywy człowiek? — zachnęła się.

— Nie jesteśmy wśród ludzi. Nie musimy grać.

— Czy ty krwawisz, kiedy ci się wbije szpilę? — jęknęła z desperacją. — Czy raczej wycieka z ciebie płynny lód?

— Dostajesz białej gorączki, bo nie udaje ci się znaleźć klucza do mojej osoby — zauważył złośliwie.

Niestety miał wiele racji. Na tym polegała jej praca: musiała kogoś dobrze wyczuć, aby móc go uwiecznić w swym dziele.

— Tobie również się nie udaje — odparowała. — Widzisz we mnie kogoś zupełnie innego, niż jestem naprawdę. Wzniosłeś taki mur pomiędzy sobą a światem, że wszyscy mają dla ciebie jedynie wartość przeliczalną na pieniądze czy inne zyski. I to właśnie doprowadza mnie do białej gorączki.

Zacisnął usta w twardą linię.

— Proszę, tu jest moja wizytówka z adresem i telefonem — oznajmił sztywno, podając Lauren kartonik. — Otworzyłem dla ciebie rachunek na wypadek, gdybyś potrzebowała strojów reprezentacyjnych czy innych drobiazgów, tu zapisałem numer. A to jest kopia naszej umowy. Przypominam, masz się stawić u mnie w domu dziś o dziesiątej wieczorem. Proszę, żebyś się nie spóźniła.

Automatycznym ruchem zebrała papiery i schowała do torby.

— Będę punktualnie — rzuciła krótko. Reece odstąpił krok do tyłu.

— I jeszcze jedno, Lauren — odezwał się niespodziewanie łagodnym głosem. — Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem.

Oszołomiona, dała się poprowadzić do drzwi.

— Do zobaczenia wieczorem, kochanie — powiedział tak czule, że serce skoczyło jej w

piersi. Jak w lunatycznym śnie minęła sekretarkę i weszła do windy.

Taksówka zatrzymała się pod bramą apartamentów Reece'a kwadrans przed dziesiątą. Lauren tak bardzo pragnęła być punktualnie, iż zapomniała, że o tej porze w mieście nie ma już korków. Zapłaciła kierowcy i stanęła obok walizki, zastanawiając się, co robić. Budowla i otoczenie były utrzymane w lekkim, japońskim stylu, z pięknie wkomponowanymi roślinami, oczkami wodnymi, kamieniami i ścieżkami. Prawdziwa oaza spokoju w sercu ruchliwego miasta. Po chwili wahania ruszyła do holu i podała nazwisko portierowi. Natychmiast wskazał jej windę.

— Najwyższe piętro — oznajmił z zawodową uprzejmością. Taksowana jego dyskretnym spojrzeniem, czuła się jak luksusowa cali girl. Kiedy stanęła przed lśnącymi, zdobnymi drzwiami, nie wahała się dłużej. Nacisnęła dzwonek. Witaj, przygodo! — powiedziała w duchu i przywdziała na twarz olśniewający uśmiech.

ROZDZIAŁ TRZECI

W drzwiach stanął Reece. Przez kilka sekund Lauren gapiła się na niego, zapominając o dobrym wychowaniu. Był nagi do pasa i bosy, a wilgotne włosy spadały mu na czoło zlepionymi kosmykami. W rzeźbiarskim odruchu katalogowała detale jego ciała: muskularną pierś, klasyczną rzeźbę mięśni brzucha, silne ramiona i wyniosłą szyję.

— Przyjechałaś wcześniej — stwierdził bez entuzjazmu.

— Myślałam, że ruch będzie większy.

— Cóż, wejdz. Właśnie wyszedłem spod prysznic.

Obcisłe dżinsy uwydatniały wąskie biodra, na brodzie ciemniał jednodniowy zarost. Reece Callahan nareszcie wygląda jak człowiek z krwi i kości, pomyślała Lauren, czując dziwną suchość w ustach. Wyglądał ekstremalnie, wręcz niebezpiecznie seksownie.

— Proszę — zachęcił ją gestem, schylając się po walizkę. — A co masz w drugiej torbie?

— Moje... rzeźbiarskie narzędzia. Zawsze zabieram je z sobą.

— Daj mi, pewnie są ciężkie.

— Nie trzeba — powiedziała z przeproszającym uśmiechem. — Sama poniosę. Niektóre z nich mam od lat.

— Nie ufasz mi, tak? — zachnął się. — Nawet jeśli chodzi o torbę z rzeźbiarskimi rupieciami?

— Posłuchaj, Reece. — Lauren wreszcie odzyskała tupet.

— Według umowy mamy publicznie odgrywać kochanków. Prywatnie nie musimy się bawić w kotka i myszkę.

Jego spojrzenie przesunęło się po postaci Lauren — od skórzanych botków, przez smukłe nogi w ciemnobrązowych legginsach, do obcisłego golfu w podobnym odcieniu i krótkiego sztucznego futerka z czarnymi panterzymi cętkami.

— Jeśli tak, musisz być kotką — stwierdził z humorem.

— Pytanie, czy ja mam ochotę być myszką...

Zachichotała, ale natychmiast przywołała poważną minę. Odstawiła torbę z narzędziami i zdjęła futerko.

— Zastanawiałem się, czy nie zrezygnujesz w ostatniej chwili — powiedział.

Uśmiech znikł z jej twarzy.

— I miałaś nadzieję, że w ten sposób bez przeszkód rzucisz Wallace'a na żer mediom, co? Na szczęście nie dałam ci tej szansy. Który pokój jest mój?

— W końcu korytarza.

Dopiero teraz zaczęła się rozglądać. Najpierw uderzyła ją wielka przestrzeń, z rzadka, lecz gustownie zagospodarowana awangardowymi meblami fińskiego projektanta, który stawał się coraz modniejszy na Manhattanie. Po chwili spojrzenie Lauren powędrowało ku kolekcji dzieł sztuki, ożywiającej dom plamami kolorów i różnorodnością kształtów.

— Kandinsky, Picasso, Chagall — recytowała na głos wędrując wzdłuż ścian. — Ten kolaż to James Ardmore. Nie jest jeszcze popularny, ale cieszę się, że się na nim poznałeś, Reece. A tu Pirot! Te refleksy światła na jego rzeźbach są niezwykle, nie uważasz?

Twarz rozgorzała jej zachwytem, kiedy podeszła do miedzianych zwojów i zaczęła muskać je ulotnymi dotknięciami palców. Zafascynowany Reece przyglądał się jej. Uniosła ku niemu spojrzenie.

— Aż się prosi o dotknięcie, prawda? Zachwycające!

— Mam jeszcze jedną pracę Ardmore'a. W sypialni.

— Mogę zobaczyć? — zapytała impulsywnie.

Bez słowa poprowadził ją szerokim korytarzem, stanowiącym dalszy ciąg galerii. Okna sypialni wychodziły na obramowane światłami aleje Stanley Park, lecz wzrok Lauren od razu pobiegł ku brązowej rzeźbie, przedstawiającej mężczyznę na postumencie, stojącej koło wejścia na taras. Położyła dłonie na lśniących złotawo ramionach i z przymkniętymi oczami badała wyrzeźbione kształty.

— To tak, jakby Pirot ubrał w kształt coś, co już tam było, czekało na niego — szepnęła.

— Czy taka jesteś, kiedy się kochasz? — rzucił ostro Reece.

Lauren drgnęła, jak wyrwana z letargu.

— Co masz na myśli?

— Zmysłowość. Pasję. Kompletne zatracenie.

Kiedy sypał się związek z Sandorem, starała się być jak najdalej od jego łóżka, aby jej nie kusiło, ale o tym Reece nie musiał wiedzieć.

— To, jak się kocham, nie powinno cię interesować — burknęła.

— Co w takim razie robisz w mojej sypialni? Intymne światło nocnej lampki uwypuklało cienie na opalonym torsie Reece'a. Lauren nagle uświadomiła sobie, że jest z nim sam na sam tuż

przy szerokim łożu.

— Chyba nie myślisz, że potraktowałam tę rzeźbę, jako pretekst? — oburzyła się bezsilnie. — Czy ty wszystko musisz mi obrzydzić?

Chyba wreszcie coś dotarło do niego, gdyż szybko dodał tonem wyjaśnienia:

— Mieszkam tu dopiero dziesięć miesięcy i wierz mi, jesteś pierwszą kobietą, która znalazła się w tym pokoju.

Od razu poznała, że mówi prawdę, wyczuła to szóstym zmysłem. Na wszelki wypadek odstaąpiła parę kroków do tyłu.

— Mogłeś mieć tu nawet cały pułk bab, nic mi do tego — syknęła. — Ja w każdym razie nie spałam z nikim od czasów Sandora, więc tym bardziej nie zamierzam przespać się z tobą.

— Myślisz, że uwierzę?

— Wierz, w co chcesz!

— To było już cztery lata temu, więc...

— Dokładnie trzy lata i dziesięć miesięcy — sprostowała gwałtownie — ale tobie nic do tego.

— Racja. Lepiej pokażę ci, gdzie jest twój pokój. Jeśli oczy są oknami duszy, to Callahan właśnie zamknął okiennice, pomyślała mimochodem. Tylko czy on w ogóle na duszę? Nie jest w każdym razie wolny od emocji, o czym dobitnie się przekonała.

Ledwie mogła nadażyć za Reece'em, który gnał korytarzem, jakby ścigały go furie. Nagle, za zakrętem, stanęła jak wryta. W niszy ściennej stała figura Madonny z Dzieciątkiem, rzeźbiona w drewnie, stara i spatynowana, prawie czarna. Postacie były proste, wręcz surowe w formie, a jednak promieniały tak głębokim wewnętrznym blaskiem, że Lauren zaparło dech w piersi. Nie słyszała, jak Reece zawrócił i stanął przy niej.

— Co się znowu stało?

— Jest przepiękna — odpowiedziała cicho, przepojona zachwytem.

— Nieznany artysta, koniec czternastego wieku. Możesz jej dotknąć, jeśli chcesz.

Delikatnie ujęła rzeźbę w dłonie.

— Patrz, jak ramię płynnie przechodzi w dłoń, a potem w ciało dziecka — zaczęła mówić nieobecny tonem. — Ten, kto ją rzeźbił, musiał kochać swoje dziecko, nie uważasz? To niezwykle w tej epoce. — Uniosła ku niemu głowę, szukając zrozumienia. Oczy miała czyste i pełne pasji, a twarz otwartą, wręcz przejrzystą, w tej krótkiej chwili nieubraną w żadną maskę.

Reece szybkim gestem musnął dłonią policzek Lauren.

— Ty sama mogłabyś posłużyć za model — powiedział niskim głosem.

— Skąd masz tę Madonnę? — zapytała, pragnąc, by piękny moment subtelnego porozumienia trwał jeszcze chwilę.

— Z małego, sennego miasteczka w Austrii, położonego z dala od głównych szlaków.

— Czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym zrobiła kopię? Dla czystej przyjemności rzeźbienia. Zniszczę ją, kiedy tylko skończę, obiecuję. — Uważnie odstawiła posążek do niszy.

— Rzeźb sobie co chcesz i ile chcesz. Wracam z biura dopiero pod wieczór, więc dni będziesz miała wolne.

Zerknęła na niego. Pytanie wypłynęło nagle, jakby tylko czekało, by zostać zadane.

— Kochałeś swoją matkę, Reece?

— Nie masz prawa o to pytać, a ja nie muszę odpowiadać — powiedział, cedząc słowa.

— Aleja...

— Twój pokój znajduje się w końcu korytarza — ciągnął tonem nieznoszącym sprzeciwu. — Chcesz coś zjeść lub wypić przed zaśnięciem?

— Jeśli moje pytanie było niedyskretne, to bardzo przepraszam, ale nie musisz się aż tak oburzać — powiedziała z urazą.

— Teraz ja przypominam, że zawarliśmy umowę i łączy nas konkretny interes, więc nie wykraczajmy poza nią.

Lauren zdawała się nie słyszeć jego słów.

— Przed laty pozwoliłam Sandorowi, aby stopniowo mnie sobie podporządkował... Tak mnie przytłoczył, że nie wiedziałam, kim jestem. Potem poprzysięgam sobie, że to się nigdy nie powtórzy. Dlatego nie próbuj, Reece. Nie uda ci się.

— Znów bawimy się w kotka i myszkę — machnął ręką poirytowanym gestem.

— Wiesz, jest w tobie jakaś cholerna twardość — powiedziała z zastanowieniem. — Jesteś jak kawałek skamieniałego drzewa, jak stalowa belka.

— Więc nie łudź się, że zdołasz mnie wyrzeźbić po swojemu — odparł z mściwą satysfakcją.

— Lekceważysz wszystkie kobiety, czy tylko mnie? — nie pozostała mu dłużna.

— Lauren, daj spokój. Sprawa jest prosta. Nie uznaję tego całego bzdurnego,

natchnionego sztafażu, który określa się mianem romantycznej miłości.

— Postać Madonny z Dzieciątkiem symbolizuje miłość macierzyńską, nie romantyczną.

— Co ty w ogóle wiesz o miłości i macierzyństwie? Masz męża? Dziecko?

Zacisnęła usta, a po jej twarzy przemknął nagły skurcz bólu.

— Po co pytasz? Przecież wiesz, że nie mam — powiedziała martwym głosem. — Kochałam Sandora, ale on nie chciał ani dziecka, ani małżeństwa. Ani mnie. Prawdziwej mnie.

— Już mówiłem, że nasza umowa nie przewiduje zwierzeń — uciął brutalnie. — Możesz sobie zrobić kawę lub herbatę w pokoju. Zaraz wstawię ci tam rzeczy. Co do jutra: jem śniadanie o wpół do siódmej i wychodzę o siódmej. Wrócę o szóstej wieczorem, o siódmej mamy koktajl, a potem kolację. Nałóż coś szykownego. Kupiłaś już sobie ciuchy?

— Oczywiście, że nie kupiłam.

— W razie, czego masz kartę i użyj jej dobrze. Pamiętaj, jutro o siódmej.

— Będę pamiętać, Reece. A teraz dobranoc. Sypialnia miała ściany i podłogę w kolorach ziemi, z którymi gustownie kontrastowała jasnobłękitna narzuta na łóżko. Po obu stronach kominka stały chińskie parawany, pokryte delikatnym rysunkiem, a na półkach pyszniła się wspaniała kolekcja porcelany z epoki Ming.

Lauren obudziła się wcześniej rano. Blask słońca wlewał się przez szerokie balkonowe drzwi. Będzie miała cały dzień dla siebie, ale najpierw musi sobie załatwić klucz od mieszkania. Szybko wskoczyła w legginsy i sweter. Boso, ze zmierzwionymi włosami, pognała do holu.

— Reece? Jesteś jeszcze? — zawołała, wpadając do wielkiej kuchni, lśniącej stalą i nowoczesnością.

— Jestem, a co?

Jego ton nie brzmiał zbyt zachęcająco. Jadł tost i przeglądał rozłożone na stole papiery, notując coś od czasu do czasu na marginesach.

— Wcześniej zaczynasz dzień — zagała.

— Ty jak widzę, też. Czego chcesz?

— Klucza. Będę chciała wyjść przed południem.

— Portier ci da, uprzedziłem go — powiedział, znów zagłębiając nos w dokumenty.

— Apetycznie pachnie ten tost — zauważyła prowokacyjnie. — Chyba sobie też zrobię.

— Nie możesz poczekać, aż wyjdę?

— Zawsze jesteś taki drażliwy z rana?

— Nie wobec tych, których lubię.

— No, dalej, dalej — drażniła się z nim, sięgając po ekspres do kawy.

— Zaczynam rozumieć tego twojego Sandora — oświadczył nieprzyjemnym tonem.

Filizanka zachybotła się w dłoni Lauren i brązowy płyn bryznął na przegub. Z traskiem odstawiła naczynie do zlewu i zaczęła polewać oparzone miejsce zimną wodą. Reece w jednej chwili znalazł się przy niej.

— Pokaż rękę — nakazał.

— Nic mi się nie stało.

Nie zważając na protesty, ujął ją za przegub, dokonując fachowych oględzin.

— W porządku — stwierdził. — Jeśli będzie piekło, posmaruj maścią. Apteczka jest w mojej łazience.

— To moja wina. Najpierw powinnam była wypić kawę, a dopiero potem sprowokować sprzeczkę — mruknęła.

Przysunął się bliżej, chłonąc spojrzeniem jej twarz.

— Prawdziwa Lauren Courtney. Bez makijażu.

— Nieogolony Reece Callahan, ale czy prawdziwy? — zareagowała natychmiast.

W jego głosie zabrzmiał niespodziewanie gorzki ton.

— Sam nie wiem, czy istnieje prawdziwy Callahan.

— Musi istnieć, Reece.

— Pewnie tak. — Machnął ręką. — Jak na tę poję zbyt poważna rozmowa. Masz ochotę na tost?

— Tak, proszę.

— Zaraz będzie. Siadaj. Należę ci kawy. Z cukrem, ze śmietanką?

— Śmietanki nie używam. Trzy łyżki cukru.

— Żeby być słodsza?

— Żeby mieć energię na cały dzień. Glukoza stymuluje myślenie, także twórcze.

Reece z niechęcią zerknął na papiery.

— Przydałoby mi się coś takiego, bo czekają mnie upiorne negocjacje.

— Jeszcze lepszy jest miód, a najlepszy syrop klonowy — poradziła.

— Widzę, że jesteś specjalistką od kreatywności. Powinnaś napisać książkę — zauważył kpiąco.

— Może, kiedyś... Wiesz co, Reece? Chyba po raz pierwszy rozmawialiśmy jak ludzie.

— Tylko nie wpadaj w euforię — ostrzegł. — I nie próbuj mnie brać pod włos.

— Nie uda mi się?

— Nie uda.

Jeszcze zobaczymy, pomyślała. Następne pytanie dobrze sobie przemyślała.

— Wiesz co? Wprost nie chce mi się wierzyć, że wszystkie te dzieła sztuki, które masz w domu, zakupiłeś wyłącznie jako inwestycje.

— To aż takie niewiarygodne? — zapytał z nieprzyjemną miną, wyjmując tost.

— Madonna z Dzieciątkiem? Jako lokata kapitału? Sądzę, że kupiłeś tę rzeźbę, bo w jakiś sposób przemawia do twoich uczuć.

Gwałtownie odwrócił się do niej plecami, na moment wciskając głowę w ramiona, jakby zadała mu niewidzialny cios. Kiedy znów zwrócił się ku niej, miał złe, napastliwe spojrzenie. Wyciągnął rękę i chwycił ją za ramię, mocno wbijając stalowe palce w ciało.

— Lauren, ostrzegam cię po raz ostatni, zostaw w spokoju moje życie osobiste!

Niebieskie oczy Reece'a płonęły emocją. Trafiała celnie i wiedziała o tym. Niespodziewanie dla samej siebie zapragnęła ująć tę twarz w dłonie i pocałować w same usta. Opanowała się jednak i powiedziała przepraszająco:

— Wybacz, nie chciałam cię urazić.

— Dobrze, skończmy tę rozmowę — burknął. — Jeszcze trochę, a spóźnię się do pracy.

Widzimy się wieczorem.

— Energicznym ruchem zebrał papiery i w pośpiechu wyszedł z kuchni.

Lauren w zamyśleniu chrupała tost. Wiedziała jedno — przez ten tydzień nie będzie się nudzić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

— Lauren, do licha, co robisz?

Dłuto ześlizgnęło się po drewnie. Odwróciła się gwałtownie.

— Nie podkradaj się do mnie, kiedy pracuję, Reece! — fuknęła. — A w ogóle co tu robisz? Umówiliśmy się dopiero na osiemnastą.

Reece nerwowym ruchem rozluźnił krawat.

— Jest szósta trzydzieści pięć. Za dwadzieścia minut powinniśmy wychodzić — oznajmił.

Lauren zrobiła wielkie oczy.

— Niemożliwe! Przecież dopiero niedawno wychodziłam na lunch.

— Spójrz na zegarek.

— O rany! — jęknęła. — A obiecałam, że będę gotowa. Przepraszam, już się za siebie biorę.

— Co zrobiłaś sobie w palec?

— A, to. — Zerknęła na dwa plastry na palcu wskazującym. — Zacięłam się dłutem, nic takiego.

— Wyglądasz jak strach na wróble — westchnął z rezygnacją.

A jak miała wyglądać w swoim ukochanym roboczym stroju, czyli w starych legginsach, bawełnianej koszulce, poprzepalanej lutownicą, z włosami związanymi w niedbały węzeł?

— I co, nie zabierzesz mnie na party? Gdzie twoja pasja przygody? — próbowała żartować, pesząc się pod surowym spojrzeniem Reece'a.

— Obawiam się, że nie mam żadnej pasji. Zrób się na bóstwo, Lauren, tylko szybko, na miłość boską!

— Rozkaz! — zaśmiała się, płynnym ruchem wstała z klęczek i przeciągnęła się.

Jednak Reece nie odpowiedział jej uśmiechem.

— Zrobiłaś to dzisiaj? — rzucił, marszcząc brwi i pochylając się nad zaczęłą rzeźbą. Długą chwilę patrzył w milczeniu, a kiedy się odezwał, zdawało się, że z trudem dobiera słowa. — Widzę, w jakim kierunku zmierzasz. To już jest piękne.

— Najpierw chciałam zrobić tylko kopię — wyjaśniła, wyciągając spinki z włosów i potrząsając głową, aż rozsypała się burza kasztanowych loków. — Lecz ona zaczęła żyć

własnym życiem.

Zarysy postaci matki i dziecka, choć potraktowane modernistycznie, miały w sobie coś z dawnej, mistycznej czci dla boskiego macierzyństwa. Reece potrząsnął głową, jakby budził się z głębokiego snu.

— Idę wziąć prysznic i przebrać się — rzucił, zawracając do drzwi. — Czekam na ciebie w salonie i wolałbym nie czekać długo.

— Tak jest, szefie! — Lauren komicznie zasalutowała i odłożyła dłuto.

Jak pełen sprzeczności jest ten człowiek! — pomyślała. Momentalnie wyczuł jej twórczy zamysł, by po chwili wycofać się w popłochu, jakby goniły go demony.

Został jej jeszcze tydzień, aby go rozgryźć. Czy w tak krótkim czasie zdoła się z tym uporać?

Punkt siódma. Reece nerwowo przerzucał kanały i przeklinał się w duchu za idiotyczny pomysł obsadzenia Lauren Courtney w roli swojej kochanki.

— No i jak?

Drgnął, usłyszawszy za sobą zalotny kobiecy głos. Wyłączył ekran pilotem i wstał, odwracając się ku Lauren. Stała, wdzięcznie upozowana w obramowaniu drzwi, spoglądając na niego powłóczyстым spojrzeniem spod umalowanych powiek. Miała na sobie długą, obcisłą czarną suknię, rozciętą do połowy uda. Jaskrawoczerwona szarfa owijała smukłą szyję i prowokacyjnie spływała po biuście. Sandały z wąskich pasków miały niebotyczne obcasy, cienkie jak sztylety. Z uszu prawie do ramion zwisały kolczyki — duże, zdobne czerwoną i niebieską emalią dyski, drżące przy każdym oddechu.

— Trudno cię będzie nie zauważyć — skomentował. Uśmiechnęła się szkarłatnymi wargami.

— O to ci chyba chodziło?

— Tak, oczywiście. — Zbliżył się, podziwiając długie gęste rzęsy. — Jakim cudem twoje włosy trzymają się tak wysoko? To wbrew zasadzie grawitacji.

Bujne kędziory miała upięte w uroczym artystycznym nieładzie. Kilka spadało z tyłu na kark, czyniąc go jeszcze bardziej smukłym.

— Dzięki szpilkom i żarliwej modlitwie — zachichotała.

— Pokaż ręce.

— Wiedziałam, że to powiesz — prychnęła, ale posłusznie podsunęła mu dłonie,

wierzchem do góry. Oprócz czerwonych paznokci zdobiły je czerwone smugi po oparzeniu kawą i przezroczysty przylepiec, owinięty wokół palca.

— Często się kaleczysz?

— Ryzyko zawodowe — wyjaśniła krótko.

— Głęboko się zacięłaś?

— Nie, ale jako istota ludzka, krwawiłam.

— W przeciwieństwie do mnie.

Skrzywił się. Sam już nie wiedział, co gorsze: kpiące spojrzenie turkusowych oczu, czy zarys stromych piersi, widoczny pod cienkim czarnym materiałem.

Na ulicy czekał porsche. Reece przytrzymał Lauren drzwi. Z gracją wsiadła do niskiego wozu, prezentując kilometry nóg w lśniących czarnych pończochach. Z trudem zapanował nad burzą emocji, która rozpętała się w jego ciele. Wsiadł i ruszył z piskiem opon. Kiedy tylko ten tydzień się skończy, weźmie sobie kobietę. Miłą, słodką, głupiutką i kompletnie nieznaną się na sztuce. Zbyt długo żył jak mnich, stąd te problemy.

W pełnej napięcia ciszy pędzili do najbardziej luksusowego hotelu w mieście.

— Okay — przerwał milczenie Reece, gdy zatrzymali się na podjeździe. — Bądź miła. kotku, dobrze? — Pochylił się ku niej i otoczył ramieniem plecy, z których zsunęła się etola, muskając smukłą szyję ustami. — Musimy wyglądać tak, jakbyśmy przed samym wyjazdem skoczyli do łóżka na szybki numer i tylko marzymy, by urwać się z przyjęcia, żeby zrobić to znowu. Rozumiesz?

Lauren przełknęła ślinę.

— Rozumiem, kochanie — zagruchała rozkosznie i miłośnie skubnęła go zębami w ucho.

Reece z heroicznym wysiłkiem zdobył się na leniwy, zblazowany ton.

— Portier odprowadzi wóz. Chodźmy, malutka.

Ujął Laurę pod ramię i poprowadził do drzwi. W holu z atencją podniósł jej dłoń do ust.

— Czy mówiłem ci, że wyglądasz olśniewająco? Na moment przyłgnęła do niego jak namiętna kotka.

— Tysiąc razy, ale to i tak za mało.

— Reece, miło cię znów widzieć — odezwał się męski głos tuż obok nich.

— O, Marcus, cieszę się, że znalazłeś dla mnie czas — odpowiedział Reece, błyskawicznie wchodząc na towarzyskie tory. — Tiffany, pięknie wyglądasz, jak zwykle' Czy

mogę wam przedstawić Lauren Courtney? Kochanie poznaj Marcusa Wheelwrighta, dyrektora europejskiego oddziału naszej spółki... a to jego córka, Tiffany.

Marcus był krępy, siwiejącym mężczyzną około pięćdziesiątki, o jowialnym sposobie bycia. Tiffany, w białej satynowej sukni i z diamentową kolia na szyi, sztywna i wyniosła, wyglądała jak lodowy posąg. W przeciwieństwie do artystycznej fryzury Lauren, która w każdej chwili groziła rozsypaniem, jej włosy były jak wyrzeźbione z marmuru.

— Wprawdzie nie znałem pani wcześniej, ale słyszałem wiele dobrego — powiedział uprzejmie Marcus, ściskając dłoń Lauren.

— Poznaliśmy się niedawno — wtrącił Reece. — Miłość od pierwszego wejrzenia, prawda, kocico?

Lauren zaśmiała się rozkosznie i wdzięcznie zawisła u jego ramienia.

— Absolutnie! Ciągle nie mogę otrząsnąć się z szoku. Mieszkasz w Paryżu, Marcus? — zagadnęła swobodnie.

— Paryż, Hamburg, Oslo, co tylko zechcesz — powiedział z roztargnieniem. Miał minę człowieka, który budzi się z ciężkiego snu.

Lauren wszczęła dyskusję o paryskim rynku dzieł sztuki, umiejętnie wciągając do rozmowy Reece'a i Tiffany. Każdym gestem, każdym ruchem ciała dawała do zrozumienia, że jest szczęśliwą, zaspokojoną kobietą, rozkwitającą u boku wspaniałego mężczyzny. Musiał przyznać, że grała rewelacyjnie. Sam usiłował dotrzymać jej kroku. W pewnym momencie Marcus odciągnął go na bok, aby porozmawiać o sprawach paryskiego oddziału, lecz Reece drugim uchem łowił rozmowę obu kobiet.

— Więc jesteś najnowszym nabytkiem Reece'a — stwierdziła Tiffany

— Nie określiłabym siebie w taki sposób — odparła ostrożnie Lauren.

— Och, nie łudź się, na dłuższą metę liczą się inne zalety — wycodziła Tiffany. — Nazwisko, pochodzenie, koneksje, szyc i smak. Światowi mężczyźni nie zakładają rodzin ze swoimi kochankami.

— Masz rację, ja mam tylko talent, inteligencję i urodę — przyznała Lauren z udawaną pokorą.

Reece z trudem powstrzymywał śmiech, słysząc tę babską szermierkę na słowa. Marcus koniecznie chciał poznać jego opinię w zawitych sprawach personalnych, lecz szybko mu przerwał:

— Przepraszam, stary, ale nie przywitałem się jeszcze ze wszystkimi. W każdym razie cieszę się, że poznałeś Lauren. Wierz mi, od niedawna jestem cholernie szczęśliwym facetem.

Lauren uśmiechała się błogo u jego boku. Naprawdę wyglądała na zadurzoną bez pamięci. Zauważył, że coraz więcej niesfornych loków wymyka się z jej fryzury. Objął ją w pasie i przesunął dłonie do nasady odkrytych pleców. Zadrżał, gdy dotknął gorącego, smukłego ciała.

— Pogadamy później — rzucił Marcusowi. — Chodź, kochanie, napijemy się czegoś — powiedział do Lauren.

Ramię w ramię weszli do sali migoczącej tysiącami drobnymi światełek. Reece rozejrzał się wokół.

— O, widzę Cindy! — oznajmił radośnie. — To twój poligon doświadczalny. Jeśli dobrze sobie z nią poradzisz, wygrasz ze wszystkimi innymi.

Cindy Lothan, żona kolejnego dyrektora, miała umysł sprawny i podstępny jak najsprytniejsza pułapka na gryzonie. Z mężem stanowili dobraną parę. Reece gładko dokonał prezentacji. Lauren, ku jego podziwowi, momentalnie nawiązała kontakt z Cindy. Właśnie perorowała o sytuacji na rynku dzieł sztuki ze znanstwem, o jakie jej nie podejrzewał, kiedy stanął za nią i położył dłoń na krągłym pośladku. Spięła się pod jego dotknięciem jak wyścigowy koń, rwący się do biegu. Przez moment cieszył się czysto męskim, prymitywnym triumfem, ale natychmiast doszła do głosu gorzka świadomość, że ta kobieta prowadzi z nim perfekcyjną grę, w której A wcale nie musi oznaczać A, tylko całkiem coś innego.

Tańczył prawie wyłącznie z nią, z coraz większym trudem kontrolując erotyczne reakcje swego ciała, poddanego próbie bliskości na parkiecie. Po północy stwierdził, że dłużej nie wytrzyma. Zachłannym gestem przyciągnął Lauren do siebie.

— Najmilsza, czy nie miałabyś ochoty wracać do domu? — szepnął.

Czerwone wargi rozchyliły się w kuszącym uśmiechu.

— Już myślałam, kocie, że nigdy o to nie zapytasz. Do diabła z udawaniem, zdecydował impulsywnie Reece, pozwalając, by ujrzała w jego wzroku nieskrywane pożądanie. Zobaczył w jej oczach identyczny wyraz. Policzki Lauren zapłonęły rumieńcem. Świat nagle przestał istnieć. Ona nie udaje, nie można na zawołanie wywołać rumieńca, pomyślał gorączkowo.

— Chcę być tylko sobą — wyszeptał chrapliwie. Przejechała koniuszkiem języka po nabrzmiałej dolnej wardze, zlizując szminkę.

— Ja też.

— Więc chodźmy.

Pożegnania i ostatnie rozmówki zdawały się ciągnąć godzinami, ale wreszcie znaleźli się przy wejściu do hotelu. Kiedy podprowadzono wóz, Lauren z ulgą osunęła się na siedzenie. Reece z piskiem opon ruszył przed siebie.

— Uff, dzięki Bogu już po wszystkim — westchnęła głośno. — W życiu tak ciężko nie harowałam.

Reece poczuł się tak, jakby chluśnięto mu lodowatą wodą w twarz.

— Zaiste, udawanie idzie ci znakomicie — burknął z nieskrywaną złością.

Posłała mu kosę spojrzenie.

— I kto to mówi? Sam równie dobrze sobie radzisz w swoich sprawach.

— Nikt nie twierdzi, że biznes jest rzeczą moralną —wzruszył ramionami. — Co innego świat sztuki i artystów — dodał zjadliwie.

— Widzę, że nie możesz wytrzymać pięciu minut bez awantury — stwierdziła z przekąsem. — Na szczęście zostało jeszcze tylko siedem dni. Ciekawe, co pomyślą sobie ci wszyscy ludzie, kiedy płomienny romans się skończy, zanim się zaczął na dobre. Pewnie uznają, że mnie rzuciłeś bo żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie dałaby się tak szybko spławić, nie uszczknawszy choć trochę twojej forsy.

— Za siedem dni możesz sobie stanąć na środku Vancouver i wykrzyczeć wszystko, co do mnie czujesz. Może wtedy ludzie przekonają się, kto był ofiarą w tym związku.

— Zahamował gwałtownie na czerwonych światłach i wykorzystał te krótkie chwile, by popatrzeć na Lauren. Włosy uwolniły się całkowicie z zapięcia i spłynęły bujną falą na szyję. — Tuliłaś się do mnie, prawie naga w tej cienkiej sukni, i oczekiwałaś, że będę obojętny jak kawał drewna? — wyrzucił z siebie nerwowo. — Święty by nie wytrzymał, a co dopiero facet z krwi i kości.

Przygryzła wargę, uważnie patrząc na niego spod oka. Zdążył już zauważyć, że ten gest się pojawia, gdy Lauren usiłuje sobie poradzić z jakimś problemem.

— Wiesz, Reece — odezwała się po chwili — nie wyczuwam cię. Nie wiem, kiedy mówisz prawdę, a kiedy kłamiesz w żywe oczy.

— Naprawdę myślisz, że wszystko sobie ukartowałam?

— Och, czy to ważne? Za tydzień będzie po wszystkim. Więc będziesz na mnie nastawał?

— Nie.

— Mogę ci ufać?

— Podobno uważasz się za inteligentną, a w tej chwili wygadujesz kompletne bzdury. Jestem kilkanaście centymetrów wyższy i ze dwadzieścia kilogramów cięższy, i gdybym chciał cię zgwałcić, nawet byś nie pisnęła. Pa miętaj, że ja również podpisałem umowę, więc albo m ufasz, albo kończymy tę zabawę.

Coś w jego tonie ostrzegło Lauren, by dłużej nie drą żyła tego tematu.

— Masz rację, przepraszam — przyznała.

Jechali dalej w milczeniu. Gdy wchodzili do holu rezydencji Reece'a, trzymali się czule za ręce, jednak w windzie natychmiast odsunęli się od siebie.

— Jutro, a właściwie dzisiaj wieczorem mamy prywatne przyjęcie w Shaughnessy Heights — oznajmił. — Poza nami będą jeszcze trzy pary. Bądź gotowa na siódmą.

— Dobrze, nastawię sobie budzik, kiedy będę rzeźbić — przytaknęła solennie.

Ceremonialnie przepuścił ją w drzwiach. Weszli do mieszkania.

— Różowych snów — pożegnał ironicznie Lauren i szybko odszedł w stronę swojej sypialni. Krok miał dziwnie ciężki, pozbawiony normalnej, tygryskiej gracji.

W sypialni Reece szybko rozluźnił krawat, nalał sobie solidną porcję whiskey i padł na fotel przed telewizorem! Dramat, kryminał, komedia, wszystko jedno. Cokolwiek byle nie myśleć o tej kobiecie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Lauren wmaszerowała do salonu Reece'a punktualnie o siódmej wieczorem. Salon był pusty. Tym razem to nie ja okazałam się spóźnialską, pomyślała z irytacją, usiłując skupić się na kontemplacji pięknego oleju Chardina oraz szkicu Picassa. Wreszcie klucz zgrzytnął w zamku i wpadł Reece, w biegu rozluźniając krawat. Cisnął marynarkę na oparcie najbliższego krzesła i dopiero wtedy zauważył Lauren.

— A niech to, jesteś punktualnie — wyjąkał, najwyraźniej zaskoczony.

— Nie zawsze się spóźniam.

— Ale zawsze się stawiasz. Dobrze, wezmę prysznic i za dziesięć minut będę gotowy.

Zrób sobie drinka.

Nie potrzebowała drinka. Dzisiejszego wieczoru będzie trzeźwa, czujna i racjonalna. Podeszła do okna. Panorama Stanley Park i ośnieżonych Gór Skalistych na horyzoncie przywróciła jej spokój. Ale tylko na chwilę, bo wkrótce wrócił Reece, nerwowo zapinając złote spinki u nieskazitelnie białej koszuli. Włosy miał wilgotne.

— Jutro moja kolej na spóźnianie się — zauważyła zgryźliwie.

— Jutro nie będziesz musiała się starać. Lecę do Seattle na spotkanie i będę w domu dopiero w nocy.

Starła się nie pokazać zadowolenia.

— Natomiast pojutrze jedziemy do Whistler — ciągnął rzeczowo. — Wolałbym, żebyś nie witała japońskiej delegacji w takim stroju.

Tylko nie próbuj mi dyktować, co mam robić, oburzyła się w duchu.

— Na razie czeka cię wielka rola w domu Briana i Bianki. Ze wszystkich dam ta dybie na mnie najbardziej.

— Dziwię się jej gustom. — Lauren korzystała z każdej okazji, by wetknąć mu szpilę. Sięgnęła po czarny wełniany szal i zarzuciła go na ramiona. Miała na sobie zielony top z głębokim dekoltem, kusząco uwydatniającym rowek między piersiami. Jedwabne spodnie o szerokich nogawkach wydawały śliski odgłos, kiedy szła do windy.

Reece wcisnął guzik, a gdy kabina ruszyła, chciwie wpił się spojrzeniem w delikatne zagłębienie kobiecej szyi, a potem niżej, gdzie dwie półkule rozdzielał tajemniczy cień.

Zdradziecki rumieniec ogarnął policzki Lauren. Nie pierwszy raz miała na sobie ten ciuch,

lecz nigdy nie nosiła go z zamiarem erotycznej prowokacji. Dlaczego w bliskości Reece'a Callahana czuła się jak naga? Przymknęli powieki. Poczwała, że Reece bierze ją w ramiona, a jego gorące wargi ześlizgują się po napiętej szyi. Musiał po czuć, że jej puls przyspieszył od razu jak szalony. Winda stanęła.

— Może byś przestał, bo nigdzie nie widać portiera — szarpnęła się w jego ramionach.

— Ale monitorują nas kamery — szepnął. — Czemu nie chcesz wyżyć się w graniu?

Chciała. Zanurzyła palce w jego włosach, nadszpiewanie miękkich i jedwabistych.

— Kochanie, chodźmy, bo się spóźnimy — wyjąkała z trudem.

Reece z równym trudem odsunął się od niej. Lauren ciasno otuliła się szalem i szybkim krokiem ruszyła do wozu. Jak mogło zdradzieckie ciało dawać zmysłowe sygnały mężczyźnie, którego się bała i któremu nie ufała? Zimna — takim bolesnym słowem określał ją niejeden raz Sandor. I potem, gdy już została sama, żaden z mężczyzn, którzy koło niej krążyli, nie wzbudził w niej najmniejszej chęci na romans. Nic dziwnego, że w końcu doszła do nieuniknionego wniosku, iż seks nie jest jej przeznaczony.

Dojechali na miejsce. W wieczornym mroku zamajaczył zwalisty budynek w stylu Tudorów, z pretensjonalną fasadą i ciężkimi dębowymi drzwiami, zdobionymi wąskimi szybami. Snobizm i bezguście, oceniła Lauren, stając na podeście. Zanim się zorientowała, Reece chwycił jej głowę w dłonie i wycisnął na ustach mocny, namiętny pocałunek. W tym momencie otworzyły się drzwi i puścił Lauren tak gwałtownie, że zatoczyła się w stronę zaskoczonego gospodarza.

— Musisz być Brianem, prawda? — wyjąkała, wyciągając dłoń na powitanie.

Brian, jeśli nawet coś wyczuł, załatwił sprawę gładko i wdziękiem:

— Lauren, witaj w Stratford House — powiedział z szerokim uśmiechem. — Reece, kope lat. Bianka, kochanie, pozwól, że przedstawię ci przyjaciółkę Reece'a, pannę Lauren Courtney. Nie pomyłę się, jeśli powiem, że jesteś z Manhattanu, Lauren?

Bianka okazała się bujną brunetką, w której wyczuwało się kipiący temperament. Rzeczywiście, przydałoby się ostudzić jej zapędy. Musiała widzieć ich namiętny pocałunek przed drzwiami, po którym Lauren ciągle jeszcze odczuwała wewnętrzne rozedrganie. Z wielkim wysiłkiem opanowała się i przybrała pozę towarzyskiego luzu.

— Miło mi cię poznać, Bianka.

— Proszę, wejdź. — Bianka wykrzesła z siebie tylko tyle uprzejmości, ile było

konieczne, nic ponadto. — Jak się masz, Reece? — zagruchała. — Cieszę się, że cię widzę. Napijmy się czegoś, a przez ten czas Brian przedstawi Lauren innym gościom.

Dziel i rządź, pomyślała zgryźliwie Lauren, podając ramię Reece'owi.

— Napiję się później, a na razie, kochanie, chciałabym poznać wszystkich twoich znajomych — oznajmiła słodko, wachlując rzęsami.

Oczy zajarzyły mu się łobuzersko, gdy z czcią ujmowali jej dłoń, by ucałować czubki palców.

— Oczywiście, najmilsza. Bianco, bądź naszym przewodnikiem.

Wbity w rywalkę wzrok Bianki obiecywał niedwuznacznie, że przy pierwszej okazji wrzuci jej truciznę do wina, jednak posłusznie poprowadziła ich do salonu, przeładowanego ciężkimi, stylowymi meblami.

Jedzenie było wyborne, wina serwowano do woli i konwersacja szybko nabrała rumieńców. Lauren tokowała, od czasu do czasu zerkając na Reece'a, siedzącego naprzeciwko. Właśnie zaśmiał się z jakiegoś dowcipu Briana, odrzuciwszy głowę do tyłu, aż białe zęby błysnęły w opalonej twarzy. Dotąd nie widziała go na takim luzie. O ile to możliwe, wygląda! jeszcze bardziej atrakcyjnie niż zwykle, emanując inteligencją, siłą i wspaniałą męską urodą. Jak mogła uważać go za zimną rybę?

Party skończyło się o pierwszej w nocy. Reece i Lauren wyszli jako ostatni. Na pożegnanie odegrała rolę, która wychodziła jej coraz lepiej, czyli kobiety — bluszczu. W samą porę oplotła Reece'a, gdyż Bianka na odchodnym chciała porwać go, aby pochwalić się nowym solarium.

Kiedy wsiedli do wozu, znów westchnęła z ulgą.

Reece uśmiechnął się, przekręcając kluczyk w stacyjce.

— Brawo, Lauren, dzisiaj przeszłaś samą siebie. Udało ci się powstrzymać Biankę przed zjedzeniem mnie żywcem. Dzięki!

W domu, zwyczajowo objęci, minęli portiera i weszli do windy. Reece wziął Lauren w ramiona i zaczął całować. Drgnęła zaskoczona, bo tym razem uśpił jej czujność. Ich postacie odbijały się, zwielokrotnione w ścianach z lśniącej blachy. Ale to już nie była gra na użytek ukrytych kamer. Czuli swoje rozedrgane ciała, tulące się do siebie, i namiętność, która zagarnęła ich jak fala i poniosła za drzwi mieszkania.

Tam nie musieli już niczego udawać. Znaleźli się sami w pustym domu. Wrócił lęk.

Lauren zeszywniała w ramionach Reece'a jak drewniana lalka. W pamięci pojawiły się wspomnienia najpiękniejszych chwil z Sandorem, zapomniane odczucie siły i dominacji męskiego ciała.

Lecz za moment lęk zniknął, zastąpiony falą pożądania, jakby wahadło odchyliło się w drugą stronę. Ciepło ust Reece'a, dotyk dłoni obejmujących ją w pasie, wszystko to sprawiało, że krew zatętniała w żyłach Lauren. Nim zdołała pomyśleć, przyłgnęła do niego całym ciałem, łapiąc za klapy garnituru i odwzajemniając pocałunek. Reece jedną ręką przyciągał ją do siebie, a drugą pieścił krągłą pierś pod materiałem bluzki.

Lauren oddychała coraz szybciej. Nagle poczuła, że silne ramiona unoszą ją w górę i zaczyna płynąć, niesiona przez Reece'a do sypialni. Otworzył drzwi kopnięciem i przed oczami Lauren załśniła miedzianym blaskiem rzeźba, a za nią światła parku na tle morza zieleni. Wielkie łóżko czekało u jej stóp. Dopiero ten widok przywrócił ją do rzeczywistości.

— Reece, ja...

Ostrożnie opuścił ją na podłogę i zamknął usta kolejnym pocałunkiem, który sprawił, że zapomniała o Sandorze. Gotowa na podróż w nieznane, zabłądziła dłońmi pod koszulę Reece'a, aby poczuć ciepło jego ciała. Z zawodowym znużeniem badała twardą rzeźbę mięśni.

— Pragnąłem ciebie od momentu, kiedy weszłaś do mojego biura — wyszeptał. — Inaczej nie zaproponowałbym ci tego szalonego kontraktu.

W mózgu Lauren rozdzwoniły się dzwonki alarmowe.

— To oznacza, że uwierzyłeś plotkom Sandora i pomyślałeś, że chętnie się zgodzę — wykrztusiła.

— Lauren, daj spokój — powiedział niskim, nabrzmiałym emocją głosem. — Chcę ciebie teraz, naga, chcę...

Miała wrażenie, że jej serce przestało bić, zakonserwowane w lodzie.

— I nie obchodzi cię, czy jestem puszczałką, czy nie?

— Przestań, proszę!

— Racja. Mamy przed sobą tygodniowy romans — podsumowała cynicznie. — Boże, co mnie podkusiło, żeby cię całować?

— Chciałaś tego.

Miał rację. Okazał się pierwszym mężczyzną, który zafundował jej zmysłowe szaleństwo, o jakim nawet nie śmiała marzyć. Reece Callahan, człowiek, którego ledwie знаła, śmierdząco

bogaty, bezwzględny drapieżnik w dżungli biznesu, a przy tym facet pełen emocjonalnych zagadek. Jakby jeszcze było mało, zabójczo przystojny, o ciele niczym grecka rzeźba. Amen.

— Przynajmniej nie zaprzeczasz — stwierdził ponuro. Lauren ze ściśniętym gardłem usiłowała znaleźć słowa, które miały wyprowadzić ją z przepaści, w której się pograżała. Najprostszym wyjściem byłoby jak najszybciej uciec z tego domu, lecz to oznaczało ruinę dobrego imienia Wallace'a. W tej sytuacji jedynym wyborem było sztywne przestrzeganie reguł zapisanych w umowie. Dlatego odezwała się z bezduszną precyzją:

— Dla japońskich żon będę hostessą, a nie twoją kochanką. To samo dotyczy jachtklubu. Innymi słowy, przez resztę czasu, przewidzianego w umowie, musimy zaprzestać grania. A kiedy kontrakt się skończy, znikam na zawsze.

Oczy Reece'a zmieniły się w dwa lodowe kryształy.

— Palisz za sobą mosty, Lauren. Niesłusznie, bo mogę być dla ciebie użyteczny. Znam wielu ludzi z dużymi pieniędzmi, którzy byliby gotowi cię sponsorować.

— Wiem, inwestować w moje prace — prychnęła. — Nie, dziękuję, dotąd jakoś sobie radziłam.

— Z pomocą Sandora. I Wallace'a. — Reece był bezwzględny i wiedział o tym doskonale.

— Dzięki Bogu, że nie dałam ci się wziąć do łóżka — westchnęła z ulgą. — Zdaje się, że własne ciało jest jedynym dobrem, jakie zgadzasz się dzielić z innymi — skomentowała. — Ale ja chcę mężczyzny, który podzieli się ze mną i duszą, i ciałem. — Charakterystycznym gestem przygryzła wargę. — Rozumiem, że według umowy we wtorek rano jedziemy do Whistler, ale w międzyczasie nie muszę cię oglądać. Czy tak?

— Zostaniesz tutaj dzisiaj i jutro do wieczora — zaznaczył z naciskiem. — Jeśli nie, nasz kontrakt przepada.

Nagle poczuła się stara i zmęczona.

— A więc ostatnie słowo należy do ciebie. Ciesz się — powiedziała cicho.

Kiedy powoli odchodziła, Reece nie zrobił ruchu, by ją zatrzymać. Kiedy weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi, ciężko oparła się framugę. Czuła się jak w więzieniu, w luksusowym więzieniu.

Jeszcze tylko sześć dni. I sześć nocy. Najgorsze będą noce, bo nabrała ochoty na miłość.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lauren pracowała jak w transie aż do wieczora. Wreszcie udało się jej przekuć twórczy zamysł w pożądaną kształt. Teraz mogła odstawić rzeźbę na parę tygodni, by powrócić do niej, zobaczyć ją na nowo i nadać ostateczny szlif. Starannie owinęła ręcznikiem figurę matki z dzieckiem i schowała do torby. Jak zwykle po ukończeniu dzieła, czuła się wyjąłowiona i senna, ale nie miała ochoty czekać w tym mieszkaniu na powrót Reece'a z Seattle.

W nagłym odruchu postanowiła zadzwonić do Charlie.

— Cześć, tu Lauren. Masz chwilkę czasu? Może gdzieś wyskoczymy?

— Jasne, fajnie, że dzwonisz. Co byś powiedziała na seczuańską chińszczyznę?

Tego jej było trzeba — zatłoczonej, gwarnej knajpki i dobrego jadła.

— Bosko!

Umówiły się w dzielnicy chińskiej. Już wkrótce siedziały naprzeciwko siebie przy stoliku, w salce, gdzie w półmroku, rozjaśnionym ognikami lampionów, migotały czerwono—złote smoki. Zjadały pierożki w sosie ostrym jak piekło, popijając zieloną herbatą.

Charlie od razu przeszła do rzeczy.

— Okay, Lauren, a teraz mów, jak to jest być kochanką najbogatszego człowieka w mieście?

— Nie jestem jego kochanką!

— Ale wkrótce możesz być — stwierdziła trzeźwo Charlie. — Obok Reece'a Callahana nie można przejść obojętnie. Przeważnie ma się ochotę go zabić — zachichotała.

— Jest nadętym, aroganckim, twardogłowym tyranem, który nie odróżnia prawdy od kłamstw. Zwłaszcza w przypadku kobiet.

Charlie skrzywiła się z niesmakiem.

— A więc uwierzył w wersję Sandora na temat twojej przeszłości i nie dostrzega tego, co ma pod nosem?

— Dokładnie. Ale trudno, to już nie jest ważne.

— Nieprawda, jest. Wystarczy popatrzeć na ciebie — powiedziała Charlie, wpatrując się w przyjaciółkę z rozbawioną miną.

— Naprawdę uważasz, że on mnie kręci? — zaperzyła się Lauren.

— Nie powiesz, że nie jest atrakcyjny?

— Czasami mignęło mi jego bardziej ludzkie oblicze, na co dzieli bardzo głęboko ukryte, ale w następnej chwili robił coś, co wkurzało mnie maksymalnie — przyznała Lauren.

Charlie wybuchnęła śmiechem.

— Kochana, wreszcie zaczęłaś zwracać uwagę na brzydką pleć!

— Gadasz, jakbym wcześniej nie chodziła na randki.

— Tylko z poczciwymi, przewidywalnymi facetami, którzy pokornie odchodzili, gdy mówiłaś im „nie”. Kiedy ostatnio byłaś z facetem z krwi i kości?

— Nie mam zamiaru zadawać się bliżej z Reece’em Callahanem! — wybuchnęła Lauren.

Charlie nagle spoważniała i ujęła przyjaciółkę za rękę.

— Może jednak byś spróbowała? — powiedziała z zarem. — Pora wyjść z getta, w które wpędził cię Sandor. Nie powinnaś pozwolić, by jego pamięć przez tyle lat rujnowała ci życie. Sandor był przystojnym, pełnym uroku manipulantem, z ego rozdętym jak balon, niezdolnym do żadnych ciepłych uczuć. Z jakiej racji masz niewolniczo tkwić w tej koleinie? Powinnaś wreszcie znaleźć kogoś, kto jest cię wart, staruszko!

— Twój opis Sandora pasuje jak ulał do Reece’a Callahana — stwierdziła zgryźliwie Lauren.

— Nieprawda, oni są różni jak dzień i noc, i dobrze o tym wiesz.

— Tak, Reece jest bardziej przystojny.

— Sandor był wewnętrznie pusty, a Reece ma duszę. Taka jest różnica.

— Hm... — Lauren ciągle nie była przekonana. — Sandor na początku bardzo mnie pociągał, ale nie zamierzam popełnić po raz drugi tego błędu.

— Jasne, że cię pociągał. Był seksownym facetem, twoim nauczycielem, mistrzem, miał talent i charyzmę. A ty — młoda i niedoświadczona. Klasyczna sytuacja!

Lauren westchnęła głęboko.

— Cholera, boję się zawierzyć swoim instynktom — powiedziała z nieszczęśliwą miną. — I generalnie nie ufam mężczyznom, bo się boję, że znów mnie zranią.

— Na co dzień, w pracy, nie boisz się ryzyka i dobrze sobie radzisz. Nie możesz tej zasady rozciągnąć na kontakty z facetami?

— Może, jak wrócę do Nowego Jorku.

— Czemu nie zaczniesz od razu tutaj, w Vancouver?

— Charlie, co ja słyszę? — Lauren zrobiła wielkie oczy.

— Radzisz mi, żebym się wdała w romans z Reece'em?

— Aha.

— To świetny przepis na katastrofę.

— Katastrofy bywają piękne — stwierdziła filozoficznie Charlie. — Poza tym pamiętaj, że przez chwilę z nim byłam — dodała cicho.

— Fakt, coś jest w tym facecie — przyznała Lauren. — Na jego widok moje hormony odstawiają radosny hip—hop, chociaż go nie cierpię.

— No widzisz, dlatego uważam, że powinnaś pójść z nim na całość.

— Może... ale na początek muszę mniej się irytować — powiedziała w zamyśleniu Lauren. Sięgając po rachunek, zerknęła na zegarek na przegubie ręki i aż podskoczyła.

— Rany boskie, już prawie jedenasta! Lecę!

Była za kwadrans północ, kiedy wreszcie dotarła do domu. Zanim zdążyła obrócić klucz w zamku, drzwi otworzyły się gwałtownie.

— Gdzie byłaś, do licha? — wrzasnął wściekle Reece. Miał na sobie dzinsy i rozchełstaną koszulę. Niebieskie oczy płonęły złym blaskiem. Chwycił ją za ramię i szarpnięciem wciągnął do środka.

Nie znosiła, kiedy ktoś nią rządził, zwłaszcza w tak brutalny sposób, jednak w porę przypomniała sobie swoje postanowienie i odezwała się chłodno:

— Byłam na kolacji w chińskiej dzielnicy.

— Dlaczego nie zostawiłaś mi wiadomości, gdzie jesteś i kiedy wrócisz?

— Prawdę mówiąc, nie przyszło mi to do głowy — przyznała z rozbijającą szczerością. — Puść mnie, dobrze?

— Z kim tam byłaś?

— Reece, do licha, mam dwadzieścia siedem lat i nie muszę ci się z niczego tłumaczyć!

— Jak on się nazywa? — atakował.

— Nie on, tylko ona, moja przyjaciółka.

Nagle uszło z niego napięcie. Puścił ją i przecesał palcami zmierzwioną czuprynę.

— Lauren, znów zaczynamy napadać na siebie — powiedział cicho. — Wybacz, ale naprawdę myślałem, że coś ci się stało.

— Co mi się miało stać?

— Mnóstwo rzeczy! Wzruszyła ramionami.

— Zapomniałeś, że mieszkam na Manhattanie i umiem poruszać się po ulicach. Niepotrzebnie się martwiłeś.

— Jesteś bardzo atrakcyjną młodą kobietą, nosisz torebki — kę z kartami kredytowymi, a tu nie jest Nowy Jork. Vancouver jest dużo bardziej niebezpieczny.

— Nie liczyłeś chyba, że przesiedzę cały dzień w domu, grzecznie czekając, aż szanowny pan Callahan przyleci z Seattle — powiedziała kpiąco. — Zawarłeś układ z niewłaściwą kobietą!

— Myślisz, że nie wiem o tym?

— Na szczęście już niedługo się od niej uwolnisz. Whstler, potem impreza w jachtklubie, i będziesz mógł pocałować mnie na pożegnanie — oświadczyła z nieukrywaną satysfakcją. — To tylko przerośnia — dodała szybko, widząc błysk w oku Reece'a.

— Do diabła z przerośniami! — warknął. — Chcę pocałować się tu i teraz, realnie, a nie w przerośni.

— Bo jestem łatwa, co? — zachnęła się.

— Bo przy tobie mówię rzeczy, których nikomu nigdy bym nie powiedział. Bo twoje włosy i twoje usta doprowadzają mnie do szaleństwa. Bo zburzyłeś moje uporządkowane, racjonalne życie. Wystarczy na początek, czy mam mówić jeszcze?

W jego słowach było coś, co głęboko poruszyło Lauren.

— Wróciłabym wcześniej, ale strasznie się zagadałyśmy — powiedziała usprawiedliwiająco. — Przepraszam, że przeze mnie się zdenerwowałeś, ale nie zrobiłam tego rozmyślnie.

Reece zawrócił na pięcie i ruszył do salonu.

— Muszę się czegoś napić. Ty też?

— Kieliszek dobrego wina — odpowiedziała, podążając za nim. Staneła przy miedzianej rzeźbie, odruchowo muskając ją palcami.

— Ciągłe nie rozumiem, dlaczego tak dramatycznie przeżyłeś moje spóźnienie.

— Nie drażmy tego dalej, dobrze? — Podał jej kieliszek chardonnay, a sam pociągnął solidny łyk whiskey.

— Umiesz zatrzaskiwać ludziom drzwi przed nosem.

— Skoro już o tym mówimy, to szukając ciebie, pozwoliłem sobie wejść do twojego pokoju. Rzeźba jest przepiękna, Lauren.

Nie oburzyła się, choć nie podobała się jej wizja Reece'a buszującego po jej sypialni.

— Właśnie dlatego musiałam wyjść — wyjaśniła spokojnie. — Zawsze mnie goni, kiedy coś skończę.

— Skoro tak — powiedział niskim głosem, wbijając w nią intensywne spojrzenie — dokąd teraz się udamy?

— Jak to? Mamy chyba jechać do Whistler? — Zerknęła na niego niepewnie.

— Nie mówię o kierunkach geograficznych. I

— W takim razie nigdzie.

— Możemy iść do łóżka. Teraz, razem.

Pójdę, jeśli tylko mnie dotkniesz, pomyślała spłoszona.

— Nie byłam z nikim w łóżku cztery lata, więc czemu miałabym nagle to robić?

Bursztynowy płyn zatańczył gwałtownie w jego szklance.

— Bo każdy facet, nie tylko ja, wyczuwając twoje reakcje, byłby pewien, że masz ochotę to zmienić.

— Sama nie wiem — westchnęła. — Kręcili się koło mnie różni mężczyźni, ale żaden nie napierał tak gwałtownie, żebym przerwała celibat. — Zachłannie wypła resztę wina. — Mówiąc jasno, i tak się z tobą nie prześpię.

Reece powoli przesunął opuszką palca po wargach Lauren, obserwując, jak nagle zwęziły się jej źrenice.

— Potrafiłbym cię namówić. Mimochodem odstąpiła krok w tył.

— Kiedy ostatnio kobieta powiedziała ci „nie”? Zbyt dawno temu. Albo nawet nigdy.

— Jeśli myślisz, że będę cię błagał, mylisz się.

Miała dosyć. Stłumiła nagły napad ziewania. Marzyła już tylko o łóżku, ale bez niego.

— Słuchaj, chcę się już położyć. Sama — zaznaczyła. — O której wyjeżdżamy?

— Bądź gotowa na dziesiątą.

Skinęła głową, odstawiła kieliszek na postument rzeźby i wyszła, nie oglądając się.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rezydencja Reece'a w Whistler oszołomiła Lauren Helikopterem, który osobiście pilotował, przelecieli nad łańcuchem cudownie ośnieżonych gór, a potem podążyli wzdłuż autostrady ku narciarskim kurortom u podnóża gór Blackcomb i Whistler. W dole mignął zielony dywan golfowego pola, a potem miasteczko i kolorowy tłum turystów, wędrujących wzdłuż szlaku sklepów i knajp.

Maszyna skręciła ku zbocz, gdzie u podnóża stał dom zbudowany z cedrowych belek i kamienia. Wylądowali Umilkł warkot silnika i na moment zapadła dzwoniąca w uszach cisza.

— Maureen i Graham rezydują tu przez cały rok — po informował Reece, kiedy wysiedli. — Po południu mam serię spotkań, a dla żon załatwiłem wycieczkę do miast na zakupy. Jesteś więc wolna do siódmej trzydzieści. I proj szę, abyś dzisiaj włożyła coś mniej prowokującego.

Lauren skinęła głową. Nie miała ochoty na dyskusję Rzeńskie powietrze upojnie pachniało sosnami i mchem Zawsze lubiła góry, bo działały na nią kojąco. Poza tyi pamiętała, co obiecała Charlie. Będzie trzymać nerwy na wodzy i nie da się wyprowadzić z równowagi.

— To piękne miejsce, Reece — powiedziała z przekonaniem. — Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że tu jestem.

W odpowiedzi otaksował ją spojrzeniem. Zaczął od luźnego, puszystego swetra, poprzez wąskie dżinsy, do sportowych butów.

— Słońce jarzy ci się we włosach — powiedział cicho, z wysiłkiem. — Lśnią miedzią i brązem.

— Nikogo tu nie ma... daruj sobie komplementy.

— Jesteś inna niż wszyscy, których znam — wyrzucił z siebie Reece z dziwnym żarem. — Żyję wśród ludzi miotających się po całym świecie prywatnymi odrzutowcami, w którym kobiety zmieniają kochanków szybciej, niż akcje na nowojorskiej, giełdzie swoich właścicieli. W świecie, gdzie wierność i romantyzm są martwym reliktem z innej epoki.

— I pasujesz do tego obrazu?

— Od kilku lat już nie. Znudzili mnie te gry, choć dobrze nauczyłem się swojej lekcji. Wystarczy roztoczyć przed kobietą wizję fortuny, a już jest tobą zainteresowana. Potem wydajesz na nią pieniądze, i już jest twoja.

— W takim razie powiem ci, jaką pierwszą lekcję przerobiłam na mojej artystycznej

uczelni. Otóż za pieniądze nie kupi się talentu, panie Callahan, bo talent jest darem—Dlatego twoje pieniądze na mnie nie działają.

— Pewnie mi nie uwierzysz, ale wiedziałem o tym od początku.

Słońce ozłociło pnie i korony sosen, jakiś ptak zaskrzeczał głośno, a góry na horyzoncie przekreśliły ciemniejszą linią czysty błękit nieba.

— Reece, męczą mnie te ciągłe słowne przepychanki — stwierdziła z niechęcią — zwłaszcza, że prowadzą nas do nikąd. Zostało tylko kilka dni do zakończenia kontraktu Czy nie możemy go prostu przestrzegać, a potem rozstać się w spokoju?

— Dobrze, więc do zobaczenia — mruknął. Odwrócił się na pięcie i nie oglądając się, zanurzył pomiędzy drzewa Popatrzyła za nim z dziwnym żalem.

Gdyby chciała być naprawdę szczerą, powinna zarzucić mu ramiona na szyję i wpić się w jego usta gorącym pocałunkiem.

Dokładnie o wpół do siódmej wieczorem Reece zastał Lauren w olbrzymim salonie, podziwiająca przez panoramiczną szybę bajeczny obraz gór i nieba. Pomieszczenie zdobił centralnie usytuowany granitowy kominek oraz imponująca rzeźba z brązu, przedstawiająca drapieżną orkę. Podeszła do wyrzeźbionego zwierzęcia i przyglądała mu się z uwagą.

Reece stał przez chwilę w milczeniu, napawając się widokiem tej kobiety w swoim ukochanym domu.

— To dzieło młodego rzeźbiarza z Wysp Królowe Charlotte — odezwał się wreszcie. — Co o nim myślisz?

— Jest piękne. Symboliczne, a zarazem realistyczne. Dokładnie to samo myślał, kiedy po raz pierwszy zobaczył rzeźbę i postanowił ją kupić. Wspólnota myśl i emocji, dzielona z Lauren, była dla niego dużo bardziej kłopotliwa niż bliskość cielesna.

— Odwróć się, niech popatrzę na ciebie — poprosił, przechodząc do dziedzińca, w której czuł się o wiele pewniej i bezpieczniej.

Posłusznie stanęła przodem ze skromnie spuszczonej oczami. Do czarnych, satynowych spodni włożyła mandarynkowy, lamowany kaftan ze stójkowym kołnierzem. Włosy, tym razem gładko szesane z czoła, były splecione z tyłu we francuski warkocz. Makijaż był delikatny, prawie niewidoczny.

— Słyszę dzwonek do drzwi — powiedziała i położyła dłoń na rękawie jego marynarki.

— Pójdziemy powitać gości, kochanie?

Dał się poprowadzić, rozmarzony bliskością jej ust, subtelną wonią ciała i perfum.

Wieczór z Japończykami dłużył się nieznośnie. Jedzenie było znakomite, od sushi do tempury. Reece obserwował Lauren, konwersującą z gośćmi ze swoją zwykłą swadą. Urocza, dowcipna i dyskretnie zalotna, jak idealna gospodyni. Matka byłaby nią zachwycona i pewnie sugerowałaby mu swoim arystokratycznym tonem, aby się z nią ożenił. Clea, jego siostra, także by ją polubiła. A Lauren z pewnością znalazłaby wspólny język z Cleą.

Ukochana siostra, młodsza od niego o siedem lat, od pięciu lat w grobie... Jak zwykle, gdy myślał o tym, rzeczywistość znikła, a czas stawał w miejscu. Ciągle jeszcze nie mógł spokojnie wspominać ich ostatniego dnia, który spędzili razem. I chwili, kiedy zostawił ją na chodniku przed bankiem w Chicago, a sam wszedł do środka, nie przypuszczając, że już nie zobaczy siostry żywej.

Nieświadomie ścisnął kieliszek palcami. Przestań, do cholery, upomniał się wściekle. Nie ma sensu rozmyślać. Nic nie wróci Clei do życia. Nic.

Szóstym zmysłem wyczuł, że jest obserwowany. Uniósł głowę i zobaczył wpatrzone w siebie, czujne spojrzenie Lauren. Była w nim taka troska, iż zapragnął wziąć swą „kochankę” w ramiona, wtulić twarz w jej włosy i wyrzucić z siebie wszystko, co zdarzyło się tamtego straszego dnia. Dnia, który nazaczył na zawsze jego życie.

Tylko z jakiej racji miałbyś się przed nią otwierać, pomyślał sarkastycznie. Nigdy nikomu nie mówiłeś, co czułeś po śmierci Clei, więc czemu Lauren Courtney miałaby być wyjątkiem...

Clea nie zaakceptowałaby takiego zachowania. Ale Clea nie żyła. To z jej powodu kupił posążek Madonny z Dzieciątkiem, bo symbolizował to wszystko, czego nie doczekała.

Reece męczeńsko brnął przez wieczór, aż wreszcie doczekał chwili, kiedy stojąc z Lauren u wyjścia, pożegnali ostatniego gościa.

— Bardzo dobrze nam poszło — stwierdził, kiedy światła kawalkady wozów znikły za zakrętem.

Lauren nie miała ochoty odpowiadać, tylko z bezpo średniością, do której zdążył już przywyknąć, zapytała:

— Powiedz, o czym myślałeś w czasie kolacji? Wyglądałeś strasznie.

Skutecznie stłumił w sobie odruch, by się jej zwierzyć. Zamiast tego rzucił kpiąco:

— O spadku na giełdzie? O dyrektorze z Tajlandii, którego muszę zwolnić? Co tylko

sobie życzysz.

— Uparcie wzdrgasz się przyznać, że jesteś człowiekiem jak każdy z nas — stwierdziła z głębokim wyrzutem. — Myślisz, że świat się skończy, jeśli przyznasz się, że masz problemy?

— Och, zamknij się — warknął po chamsku.

Smukłe palce zacisnęły się na rękawie jego marynarki. Lauren z determinacją przygryzła wargę.

— Widziałam twoją twarz. Wyglądałeś, jakby dopadły cię demony. Nie wiem, co się stało, ani co zrobiłeś, ale uważam, że lepiej będzie, jeśli nie będziesz sam dźwigał tego ciężaru.

Stanowczym gestem ujął jej dłoń, zdjął z rękawa i puścił, aż opadła bezwładnie.

— Cierpisz na przerost wyobraźni, moja miła — powiedział cierpko. — Lepiej już idź do łóżka.

Długie rzęsy zamrugały gwałtownie, ale skupiła się w sobie i bojowo uniosła podbródek.

— Nieważne, że jesteś śmierząco bogaty, Reece — oświadczyła. — Dla mnie liczy się to, że jesteś rozpaczliwie ubogi w uczucia i emocje. Takie jak bliskość wobec drugiego człowieka, wzajemne zrozumienie...

— Daruj sobie tę kuchenną psychologię — sarknął. — Na nic mi się ona nie przyda.

— Zgoda, nie potrzebujesz niczego ani nikogo, a już zwłaszcza mnie — stwierdziła z niezwykłym spokojem. A potem odwróciła się na pięcie i wyszła z salonu.

Biodra falowały pod śliską satyną, plecy miała nienagannie wyprostowane. Reece z wysiłkiem powstrzymał się, by przywołać ją z powrotem.

Nic z tego, pomyślał stanowczo. Nawet nie próbuj. Jesteś samotnym myśliwym, Callahan, i będziesz nim do końca. Kobieta o słoneczno rudych włosach i oczach jak tropikalne morza nie ma tu nic do rzeczy. Nic.

W nocy dręczyły go koszmary, w których Clea i Lauren wzywały pomocy, a on nie był w stanie uczynić najmniejszego ruchu. Rano zwlókł się do łazienki i chwiejnie stanął pod prysznicem. W pół godziny później, ogolony i ubrany w niebieski garnitur, wkroczył do kuchni, mając nadzieję, że wygląda jak człowiek. Ale Lauren nie była sama.

Sam Lewis, jego protegowany, a w pewnym momencie chłopak Clei, stał przy oknie, podziwiając poranny widok gór. Lauren u jego boku śmiała się głośno z czegoś, co przed chwilą powiedział. Sprawiali wrażenie, jakby świetnie się rozumieli.

— Sam, co tutaj robisz? — zapytał ostro Reece. Młodzieniec odwrócił się ku niemu. W

szczupłej, miłej twarzy, zwieńczonej szopą ciemnych włosów, błysnął uśmiech.

— Cześć, Reece. Przyjechałem do Vancouver w interesach i dowiedziałem się od Maureen, że jesteś tutaj. Więc wdepnąłem, żeby cię zobaczyć.

Lauren również odwróciła się ku niemu. Miała na sobie płócienne bojówki i białą koszulę. Włosy, splecione w warkocz, lśniły złociście w blasku słońca.

— Dzień dobry, Reece — powitała go chłodno. — Właśnie umawiałam się z Samem na małą wycieczkę w góry.

— Zanim pójdziecie, zadzwońcie do strażników parku, żeby się upewnić, czy nie ma niedźwiedzi — poradził i natychmiast znienawidził się za nieprzyjemny ton zrzędliwego wujka. Świadomość, że sam powinien tam iść z Lauren, była nieznośna. Nie był w stanie wyrwać się ze swojego kieratu i tym samym skazywał ją na towarzystwo innego mężczyzny.

— Oczywiście, że zadzwonię do strażników — zapewnił skwapliwie Sam. — Pewnie pojedziemy wyciągiem w górę, ku łąkom, bo tam jest najpiękniej.

— Fajnie — burknął Reece. Razem zasiedli do śniadania. Miał wrażenie, że melon i truskawki, które jadł, są styropianową imitacją. Lauren starannie unikała jego wzroku.

— Posłuchaj, jest zmiana planu — powiedział do jej pochylonej głowy. — Chciałbym, żebyś jutro rano pojechała z japońskimi żonami do Pemberton. Mają tam śniadanie w klubie golfowym. Autobus przywiezie was tu o trzeciej, a o piątej odlatujemy helikopterem.

Spojrzała na niego, unosząc brwi.

— Sam, muszę ci wyjaśnić, że jeszcze przez cztery dni muszę występować w roli hostessy Reece'a, bo podpisałam z nim taki kontrakt. Kiedy wygaśnie, w następnym tygodniu wracam na Manhattan.

— Rozumiem — powiedział Sam tonem, który świadczył, że rozumie aż nadto, lecz woli nie pytać o szczegóły.

— Ponieważ jutro mam pracowity dzień, dzisiaj chcę nacieszyć się wolnością — powiedziała, częstując zachwyconego młodzieńca promiennym uśmiechem.

W chwilę później Reece wprowadził Sama do biura. Zaledwie znaleźli się za drzwiami, odezwał się gwałtownym tonem:

— Chciałbym od razu coś ustalić, Sam. Pod żadnym pozorem nie opowiadaj Lauren o Clei.

Sam wyprostował się z godnością. Z młodzieńczej twarzy zniknął beztroski wyraz.

— Wiesz, co mnie łączyło z twoją siostrą — powiedział. — Była jedną z najważniejszych osób w moim życiu, ale nie żyje od pięciu lat, więc po co miałbym o niej opowiadać Lauren?

— Zawarłem z tą panią czysto biznesowy kontrakt — wyjaśnił z naciskiem Reece — i śmierć Clei nie ma z tym nic wspólnego.

— Może sam powinienes jej o tym powiedzieć? Reece z trudnością panował nad sobą.

— Nie ma potrzeby. Słyszałeś, co powiedziała Lauren. Za cztery dni wraca na Manhattan, a moje życie osobiste jest sferą ściśle prywatną.

— W porządku — zgodził się Sam. — Choć osobiście sędzę, że popełniasz błąd.

— Zmieniłeś się, Sam — powiedział powoli Reece.

— Taa... kiedyś trzeba dorosnąć. Przydały mi się nego— cjae, na które mnie zabierałeś, wiesz? Strategia przetrwania: toniesz albo pływasz — zachichotał. — Wzorem byli dla mnie wyczynowcy tacy jak ty.

Reece uśmiechnął się mimo woli. Zawsze lubił Sama, a teraz z bólem wspominał, jak cieszył się, że Clea wybrała sobie tak fajnego chłopaka. Szybko skierował rozmowę na sprawy interesów, a po godzinie patrzył, jak Sam zaprasza Lauren do swojego wozu.

Reece zaklął szpetnie, włączył komputer i wyciągnął z teczki papiery.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Lauren była zachwycona przyjazdem Sama. Pogodny charakter i szczerzy zachwyt jej towarzystwem stanowiły miły przerwany humorzastym, nieobliczalnym Reesie. Mimo to, kiedy wędrowali po górskich łąkach, skrycie żałowała, że to nie on jest z nią.

Czy normalna kobieta przedkładałaby ponurego, aroganckiego choleryka nad bystrego, subtelnego wesołka? Na pewno nie!

Ale kiedy Sam podawał jej dłoń, pomagając przejść skalny grzbiet lub strumień, albo miękkim ruchem spędzał komara z jej szyi, nie czuła absolutnie nic. Nawet najmniejszego zmysłowego drgnienia. Martwa cisza w porównaniu z burzą, jaką budziło w niej choćby najdelikatniejsze dotknięcie Reece'a.

Życie z Samem byłoby miłe i bezpieczne, myślała, odprowadzając go następnego ranka do samochodu. Tak jak jej życie przez ostatnie cztery lata.

Uściskali się serdecznie.

— Miło było cię poznać — powiedziała, i mówiła to szczerze. — Może spotkamy się kiedyś w Nowym Jorku?

— Chętnie, często tam bywam. Kiedy będziesz w jacht— klubie, popływaj na kajaku. To prawdziwa frajda. Do zobaczenia, Lauren.

Z uśmiechem pomachała mu na pożegnanie i zawróciła do domu. Reece wyrósł nagle tuż przed nią.

— Czy w sobotę będziesz mnie żegnała tak samo czule? — zapytał złowrogo.

— Jesteś zazdrosny!

— Nie rozśmieszaj mnie!

— Powiem ci tylko „do widzenia”.

— Dotrzymałaś układu, Lauren? Czy też powiedziałaś mu o swoim ojczymie i o tym, jaki to ze mnie wyrachowany, cyniczny drań?

— Pewnie urazi to twoje rozdęte jak purchawka ego, ale w ogóle nie mówiliśmy o tobie. Mieliśmy ciekawsze tematy. — Demonstracyjnie wzruszyła ramionami.

— Za godzinę podjedzie autokar. Bądź gotowa do wyjazdu na wyspę — rzucił, po czym wielkimi krokami wyszedł z holu.

Ostatni ze statków, płynących przez cieśninę pomiędzy stałym lądem a wyspą Vancouver, zniknął Lauren z oczu, gdy helikopter zniżył lot w kierunku skupiska niewielkich wysepek, sterczących z turkusowego oceanu jak wianuszek szmaragdów. Jacht, płynący pod pełnymi żaglami, wyglądał jak dziecięca łódeczka, flotylla kajaków podskakiwała na falach jak patyczki. Reece zaczął podchodzić do lądowania. Przez okrągłe okienko Lauren dostrzegła dach jachtklubu, wyłaniający się z kępy drzew.

Trudno było sobie wyobrazić bardziej atrakcyjną lokalizację. Szkoda tylko, że nie była panią swego czasu, aby do woli cieszyć się urokami tego miejsca.

— Jutro będę pływać kajakiem — powiedziała do mikrofonu.

— Sama? Nie ma mowy.

— W takim razie znajdź mi odpowiednie towarzystwo. Przy mojej reputacji nie będzie to trudne.

— Daj spokój, Lauren, jeśli nie chcesz, żebym wylądował w drzewach.

Zamilkła, z podziwem obserwując sprawne manewry Reece'a, który posadził maszynę dokładnie w samym środku kręgu lądowiska. Kiedy śmigło stanęło, pracownik zabrał bagaże, a zarządca obiektu zaprowadził ich do wschodniego skrzydła budynku, patrzącego na ocean.

— Tu mają państwo sypialnię. Łazienka jest po prawej, a tam salon z barkiem — poinformował, wprowadzając ich do apartamentu. — Pański kontrahent, panie Callahan, będzie w głównym barze o dziewiętnastej, natomiast kolacja jest o dwudziestej.

Do Lauren ledwie docierały jego słowa. Sypialnia, tak powiedział. Użył liczby pojedynczej. Kiedy tylko zarządca wyszedł, szybkim krokiem przemierzyła salon i otworzyła jedno z dwojga drzwi po przeciwnej stronie. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, było olbrzymie, prawdziwie królewskie małżeńskie łóżce.

— Tego nie było w kontrakcie, Reece! — wykrzyknęła.

— Znam swoje prawa. Myślisz, że podstępem zmusisz mnie, żebym z tobą spała? Skrzywił się z irytacją.

— Rezerwacji dokonywałem parę tygodni temu, kiedy jeszcze nie wiedziałem o twoim istnieniu. A łóżko jest na tyle duże, że możemy spać z daleka od siebie.

— Nie!

— Czemu nie chcesz dzielić ze mną łóżca? Lauren demonstracyjnie wzniosła oczy do nieba.

— Naprawdę muszę ci to tłumaczyć? Nie pamiętasz, co się ze mną działo, kiedy się całowaliśmy? Myślisz, że leżąc w odległości pół metra od ciebie, zasnę spokojnie? Wolne żarty!

— Pragniesz mnie, a jednak chcesz spędzić noc osobno. Wolisz zostać sama ze swoimi lękami i urazami. Ty chyba jednak nie lubisz mężczyzn — rzucił prowokacyjnie.

— Ho, ho, co za teoria! Kuchenny psycholog. Reece z nagłym żarem pochwycił Lauren w ramiona.

— Chcę ci ufać, nie rozumiesz? Cholerny świat, tak bardzo pragnę tego!

— Więc ufaj mi, lecz do niczego nie zmuszaj — powiedziała spokojnie.

— Ale...

— Słuchaj, muszę się jeszcze umalować, żeby wyglądać jak luksusowa hostessa finansowego rekina.

Skinął głową z uśmiechem, a w jego oczach pojawił się ciepły, wesoły wyraz.

— Dobra, dobra. W takim razie pędź do łazienki, bo rzeczywiście się spóźnimy.

Nie dzieliła łoża z Reece'em. Po koktajlu, gdzie od bezustannego uśmiechania się rozboleła ją szczęka, spędziła na wpół bezsenną noc, przewracając się na kanapie. O czwartej nad ranem doszła do wniosku, że piekielny mebel został zrobiony przez tapicera—sadystę. Z ulgą wstała o wpół do siódmej i zeszła do jadalni, aby zjeść śniadanie w przed wyruszeniem na kajak. W dziesięć minut później zjawił się Reece i zasiadł z nią do stołu.

— Postanowiłem popłynąć z tobą — oznajmił.

A tak marzyła, by oderwać się od niego, chociaż na kilka godzin! Cień rozczarowania musiał się odbić na jej twarzy, gdyż powiedział z wyrzutem:

— Stwierdzenie, że masz mnie dość, jest chyba za łagodne. Ty mnie po prostu nie znosisz.

— Przez grzeczność nie zaprzeczam.

— Skoro jesteś tak dobrze wychowana, uśmiechnij się do mnie, kochanie. Kelnerka nadchodzi — powiedział uwodzicielskim głosem, sięgając po dłoń Lauren i unosząc ją do ust.

Gdy przyniesiono śniadanie, długą chwilę w milczeniu nasycali poranne apetyty. Wreszcie Reece odezwał się ugodowym tonem:

— Słuchaj, zawrzyjmy układ. Zapomnijmy o Harvarsonie i umowie, o tym cholernym łożu i o kajakach. Wystarczy plaża, słońce i wieloryby. Co ty na to?

— Dobrze — odparta niepewnie.

— Świetnie — ucieszył się. — Znam takie miejsce, z którego można obserwować wieloryby. Pływają tam całymi rodzinami.

Rodzina... Właśnie, ani razu nie niej wspominał.

— Nigdy nie pytałam cię o rodzinę — powiedziała, kiedy kelnerka przyniosła kawę.

— Nie ma, o czym opowiadać... Moi rodzice nie żyją — odparł niechętnie.

— Nie masz braci ani sióstr? Cisza.

— Nie mam — usłyszała wreszcie. Wyczuła, że Reece nie mówi prawdy.

— Byłam jedynaczką — zaczęła opowiadać, aby go zachęcić do zwierzeń. — Na każdą Gwiazdkę pisałam do Świętego Mikołaja list, w którym prosiłam o siostrzyczkę pod choinkę. Wreszcie któraś z koleżanek powiedziała mi, że Święty Mikołaj nie istnieje. Takie były moje bóle dorastania — zakończyła ze smutnym uśmiechem. — A ty chciałeś mieć braciszka lub siostrzyczkę?

— Miałem młodszą siostrę. Umarła.

— Tak mi przykro, Reece — wyszeptła Lauren.

— To było dawno temu. Zamknięty rozdział. Nie zapomnij nasmarować się kremem, bo słońce będzie ostre.

Obojętnemu tonowi głosu przeczyły napięte rysy twarzy i opuszczone powieki, kryjące mroczne spojrzenie. Wyraźnie nie chciał opowiedzieć jej o siostrze, ale widać było, że upływ lat nie złagodził bólu po jej śmierci. Tak bardzo pragnęła go pocieszyć... a jeszcze wczoraj uważała, że nienawidzi tego człowieka!

— Dasz mi swój numer telefonu, kiedy skończymy kontrakt? — zagadnął zniecka.

Zamrugnęła gwałtownie.

— Tak, dam, jeśli ty mi dasz.

— Oczywiście.

— Dlaczego to robisz, Reece?

— Bóg jeden wie — wzruszył ramionami. — Po prostu nie jestem w stanie znieść myśli, że powiemy sobie do widzenia i więcej cię nie zobaczę.

— Ja czuję dokładnie to samo — uśmiechnęła się blado. — Ale nie każ mi tłumaczyć, dlaczego.

— Już nie wierzę Sandorowi — ciągnął z powagą. — I przepraszam za to, że jeszcze

niedawno wierzyłem.

Plaster melona upadł na talerz Lauren. Poczwała się tak, jakby ziemia poruszyła się jej pod stopami.

— Nie pomagałaś swojej karierze łóżkiem, prawda?

— Nie, chyba że zaliczysz do tej kategorii związek z Sandorem.

— Nie. Byłaś wtedy młoda, upojona tym, że znalazłaś się na Manhattanie, i zwyczajnie zakochana. A on był twoim wielkim mistrzem.

— Tak było. Kochałam go, a przynajmniej tak mi się wydawało. Dopóki nie ukradł mojego pomysłu, a potem bezczelnie zaprzeczał, że to zrobił. Wtedy wszystko się dla mnie skończyło.

— Wiesz co, chodźmy jednak na te kajaki — zaproponował z nagłym ożywieniem. — Teraz, zaraz. Mam dosyć przeszłości. Zafundujmy sobie coś przyjemnego — dodał, wstając z krzesła.

Był uśmiechnięty, na luzie, wręcz beztroski. Rzadkie wcielenie Reece'a Callahana, ale właśnie takie Lauren lubiła najbardziej.

Uwierzył we wszystko, co mówiła o Sandorze. I poprosił ją o numer telefonu. Z zachwytem podążyła za nim do wyjścia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wody cieśniny miały głęboką zieleń jadeitu, zdobionego długimi pasmami alg, snującymi się między wyspami. Orzeł, siedzący na wysokim drzewie, śledził bystrym okiem przepływające kajaki. Foka z pluskiem zsunęła się na ich widok z granitowej skały. Po godzinie wiosłowania Reece odezwał się niskim głosem:

— Niedawno widziano tu wieloryby. Pokręćmy się chwilę w tej okolicy.

— Jak tu pięknie — westchnęła z zachwytem Lauren. — Och, co to jest?

Ciemny, długi kształt wychylił się na powierzchnię płynnym ruchem, prezentując w całej okazałości czarno-białe, kontrastowe ubarwienie. Orka ze świszczącym odgłosem wyrzuciła z siebie fontannę wody, a potem znikła z potężnym machnięciem ogona, pozostawiając wodną mgielkę. W chwilę potem wyłoniły się trzy inne, dwie duże i mniejsza. Wielkie ciała wyginały się w łuk z baletową gracją, zanim znikły, burząc wodę. Na tym jednak spektakl się nie skończył. Pierwszy wieloryb wyłonił się ponownie, wyskakując wyżej ponad wodę, aż płetwy zabłyśły w słońcu, po czym opadł w wielkim pluskiem, wzniesając fale, która zachybotwała kajakami. Reece zerknął na Lauren. Chłonęła wielorybi spektakl jak w transie. Orki pojawiły się jeszcze dwa razy, a potem woda wygładziła się jak zielony jedwab.

— Dzięki, że mnie tu przyprowadziłeś. Nawet nie potrafię ci powiedzieć, co czułam, kiedy je zobaczyłam — powiedziała z zachwytem.

— Cieszę się, że sprawiłem ci przyjemność. — powiedział z uśmiechem. — A może chcesz teraz obejrzeć naskalne rysunki Kwakiutłów? Są naprawdę niezwykle. Znajdują się niedaleko stąd, możemy tam powiosłować.

Przytaknęła z miną małej, zachwyconej dziewczynki. Wyglądała niezwykle uroczo.

— Na plaży, niedaleko jachtklubu, morze wyrzuciło na brzeg zupełnie niesamowite pnie i gałęzie — dodał. — To prawdziwe naturalne rzeźby. Pokażę ci je, kiedy będziemy wracać — zaproponował.

Dzieła Kwakiutłów zaimponowały Lauren, zrobiła nawet na papierowej chusteczce kilka szkiców, ale w szczerzy zachwyt wpadła dopiero na widok fantastycznie poskręcanych korzeni i gałęzi, wypolerowanych przez ocean. Błądziła w labiryncie pni i dziwacznych kształtów, gładząc pobielające od soli i słońca drewno.

— Pokazałeś mi kolejną wspaniałą rzecz, Reece — powiedziała, patrząc na niego z

wdzięcznością. — Jestem naprawdę szczęśliwa.

Z wysiłkiem przełknął ślinę. Marzenie o tej kobiecie, o miłosnej bliskości, towarzyszące mu przez cały dzień, stało się jego obsesją. Najchętniej położyłby ją tu, na tym białutkim piasku, wśród poszumu fal i zielonych cedrów, z całą armią dziwacznych, drzewnych rzeźb, służącą za fantastyczne tło. Czuł, że jeszcze chwila, a nie starczy mu sił, by się opanować.

— Możesz sama wrócić stąd do klubu, podziwiając sobie po drodze te badyle, a ja poholuję kajak i przyłynę tam szybciej, bo mam jeszcze parę spraw do załatwienia — zaproponował z bólem serca.

Uśmiech Lauren był urzekająco piękny.

— Naprawdę? Jesteś cudowny!

Natychmiast ruszyła przed siebie, klucząc pomiędzy pniami i rozglądając się z ciekawością. Momentalnie zapomniała o jego istnieniu, choć zostawił ją na pustej plaży. Poczul ukłucie żalu, lecz szybko pojął, że tej kobiety nie można oceniać w pospolitych kategoriach. Żyła w świecie realnym, lecz gdy zapadała w sztukę, zapominała o wszystkim. Miała artystyczne wizje, które potrafiła przekuć w zrozumiałe dla innych kształt, i w ten sposób mówiła ludziom, co jest piękne i dobre. Z przerażeniem pomyślał o pustce, jaka zapanuje wokół niego po wyjeździe Lauren. Mocniej wparł wiosło w wodę.

Lauren spędziła na plaży prawie dwie godziny. Najchętniej zabrałaby stąd cały transport drewna, lecz w końcu wybrała niewielki konar z gałązkami sfałowanymi jak koronka piany na szczytach oceanicznych grzywaczy. Miała dokładną wizję, co otrzyma z tego materiału po dalszej rzeźbiarskiej obróbce. Po powrocie niezwłocznie zabrała się do pracy. Reece nie wrócił na lunch. O czwartej po południu głód odegnał ją od dłuta. Morskie powietrze zrobiło swoje. Postanowiła wziąć szybki prysznic i zamówić coś do pokoju.

Schowała włosy pod plastikowym czepeczkiem i poddała się ożywczemu strumieniowi wody. Czuła satysfakcję z pracy, którą już wykonała, lecz dopowiedziała sobie trzeźwo w myślach, że po części traktuje ją jako ucieczkę od rzeczywistości. Niedługo drogi jej i Reece'a rozejdą się definitywnie. Powrócą do swoich światów, w których do tej pory istnieli, i taki będzie koniec tej dziwnej przygody.

Za nic nie chciała wyobrazić sobie momentu rozstania. Stojąc pod strumieniami wody, spływającymi po piersiach i brzuchu, wołała widzieć zachłanne męskie dłonie, błędzące po jej

ciele. Przymknęła oczy. Uważała, że Reece jest niebezpieczny, lecz o ileż bardziej niebezpieczne były jej własne myśli?

Gwałtownym ruchem zakręciła złoty kran. Ściągnęła czepek, potrząsając głową, by włosy rozsypały się i podeschły, po czym, owinąwszy ciało puszystym ręcznikiem, wyszła do sypialni. Tam przykucnęła przy komodzie i zaczęła myszkować w szufladzie w poszukiwaniu odpowiedniej bielizny.

W drzwiach stanął zaaferowany mężczyzna, kartkujący po drodze plik papierów. Wyprostowała się gwałtownie, a luźno zawiązany ręcznik zsunął się z piersi. Chwyciła go garścią, ale już było za późno. Reece zamarł, a kartki wysunęły mu się z ręki.

— Och, Lauren, jaka jesteś piękna... — wyjąkał, a w następnej chwili rzucił się ku niej, chwycił w ramiona i zaczął całować jak szalony.

— Chcę cię widzieć nagą — powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. Wyrwał jej z rąk ręcznik i odrzucił. Stał, chłonąc wzrokiem krągłe piersi. Ujął je w dłoń i zaczął pieścić, podczas gdy drugą gorączkowo rozpinął guziki koszuli.

Płomień przebiegł po ciele Lauren. Zachłysnęła się szaloną nadzieją, że ten mężczyzna zaprowadził ją do krainy, do której Sandor zabronił jej wstępu. Krainy namiętności, w której jeszcze nigdy nie była. Przyłgnęła do Reece'a, pomagając mu ściągnąć koszulę, aby jak najszybciej poczuć dotyk jego ciała.

Ujął jej twarz w dłonie i zaczął obsypywać pocałunkami z taką pasją, że zapomniała o lękach. Gorący dotyk jego skóry i potęga własnego żaru raz na zawsze zniweczyły obawy, że okaże się zimna. Teraz marzyła tylko, by zapłonąć wraz z nim. Jak przez mgłę czuła, że Reece zmagą się z klamrą u pasa, a w następnej chwili leżała na łożu, przygnieciona jego ciężarem.

Był w pełnej gotowości. Poczuli to i serce zareagowało szaleńczym rytmem.

— Reece, tak, och, tak...

Bardzo, ale to bardzo nie chciała go zawieść, podobnie jak nie chciała zawieść samej siebie. Dotyk Reece'a naglił coraz bardziej, a jego dłoń zsunęła się niżej. Lauren na moment wróciła do rzeczywistości.

— Tak, kochanie — wymamrotał nieprzytomnie — wiem, chcesz mnie tak samo, jak ja ciebie, prawda? — I wszedł w nią jednym głębokim pchnięciem.

Już nie było lęku, tylko czysty zachwyty. W jednym ulotnym momencie zmysły Lauren ogarnęło tak przemożne poczucie połączenia i bliskości, że niemal chciało jej się płakać. Gorący

oddech Reece' a owiewał jej ucho, a łomot jego serca czuła w swojej piersi.

— Wybacz, moja piękna, skończyłem za szybko, o wiele za szybko, ale tak cię pragnąłem... — wydyszał. — Zostańmy w tym łóżku i zrobmy to jeszcze raz, a wtedy... — urwał. Zobaczył, co wskazuje zegarek, który pozostał na przegubie. — Chryste, wyszedłem z zebrania, żeby uzupełnić papiery, a oni tam na mnie czekają! — Nagły błysk humoru zaiskrzył się w niebieskich oczach. — Chyba im się nie przyznam, co naprawdę się stało. Jak myślisz?

— Jasne, to nie ich interes — wyjąkała. Znów dopadła ją niepewność, choć nigdy jeszcze nie widziała w spojrzeniu Reece'a takiej czułości.

— Najmilsza, muszę iść, ale wrócę jak najszybciej, mniej więcej za dwie godziny. Poczekaj tu na mnie, pośpij sobie, a potem zaczniemy wszystko jeszcze raz. Bo to dopiero początek, przecież wiesz, prawda?

Nie wiedziała, ale zdołała się uśmiechnąć. Wstała i pomogła mu pozbierać papiery.

— Lauren — powiedział wyraźnie zdenerwowany, mocując się z ostatnim guzikiem — naprawdę nie chciałem, żeby wyszło w ten sposób...

— Lepiej się pośpiesz — przerwała mu i łagodnie popchnęła ku wyjściu.

— Masz rację. — Musnął ją przelotnym pocałunkiem i wybiegł za drzwi.

Lauren popędziła do łazienki, a potem na chybił trafił wygrzebała z komody podkoszulek i szorty. Musi stąd wyjść, i to zaraz — z tej sypialni, z tego klubu. Musi znaleźć miejsce, gdzie będzie mogła spokojnie pomyśleć, zastanowić się, rozważyć...

Plaża z wyrzuconym przez morze drzewem.

Szybkim krokiem przeszła przez patio i po schodach zeszła na nabrzeże. Nagle drgnęła, słysząc za sobą radosny męski głos.

— Cześć, Lauren. Co tu porabiasz? Odwróciła się nerwowo.

— O, hej, Ray. Idę... idę na spacer.

Raya Hardy'ego i jego żonę, Dianę, poznała na wczorajszym party i od razu ich polubiła. Weseli ludzie, którzy wiedzieli, co w życiu jest miłe i przyjemne. Przed czterema laty wygrali najwyższą w historii gier liczbowych kumulację na loterii i z wielką uciechą fundowali sobie przyjemne, beztroskie życie. W porcie stał zakotwiczony ogromny luksusowy motorowy jacht o znaczącej nazwie „Zwycięzca”.

— Kolejny piękny dzień — powiedział z zadowoleniem Ray. — Niedługo stąd wyruszamy. Diana chciała pobuszować po sklepach w Vancouver, a ja mam już dosyć

towarzystwa finansowych rekinów. Nie zrozum mnie źle, twój Reece jest bardzo porządnym gościem, lecz dla mnie to za wysokie loty.

Dla mnie też, pomyślała gorzko.

— Ray, przecież sam też nie jesteś finansową płotką — zauważyła.

— Kiedy wygraliśmy z Dianą fortunę, dobrze musieliśmy rozważyć, co z nią zrobić. Inwestycje, ot co, ale tego trzeba się nauczyć. Paru znajomych menedżerów zafundowało mi praktyczne szkolenie, na którym wiele skorzystałem, a przede wszystkim poznałem się na człowieku takim jak Reece, który jest wyjątkowo uczciwy, oczywiście jak na kogoś z tej branży. Bardzo interesujące, bo nigdy dotąd nie myślała o nim w ten sposób.

— Rozumiem, że skoro tak mówisz, trafiłeś również na nieuczciwych? — domyśliła się.

— Tak, szczególnie w jednym przypadku instynkt mnie zawiódł i powierzyłem pieniądze zupełnie niewłaściwej osobie. Na szczęście tylko część. Ten Wallace był prawdziwym utracjuszem, ale potrafił tak mnie, i nie tylko mnie omotać, że całkowicie mu zaufałem.

Lauren zamarła. Niemożliwe, zbieżność imion musi być przypadkowa!

— Wallace? — powtórzyła głucho.

— Tak, Wallace Harvarson. Naprawdę miły facet, świetnie ustosunkowany, bywalec salonów i cudowny gawędziarz, ale oszustwo musiał mieć w genach.

Lauren udręczonym gestem potarła czoło.

— Mówisz, że powierzyłeś pieniądze Wallace'owi, aby nimi obracał, a on je zdefraudował? — powiedziała z niedowierzaniem. — Jesteś pewien, że to on?

— Tak jak cię tu widzę! Hej, co ci jest? Dobrze się czujesz? Okropnie zbladłaś.

— Ray, Wallace był moim ukochanym ojczymem. Właśnie z jego powodu jestem z Reece'em.

Ray spowaźniał. Delikatnie ujął Lauren pod łokieć i poprowadził do ławki ukrytej w cieniu cedru.

— Usiądźmy tu i opowiedz mi wszystko po kolei — poprosił. Na jego puciołowej twarzy malowała się prawdziwa troska. — Czuję się winny, że doprowadziłem cię do takiego stanu.

Lauren, najkrócej jak mogła, opowiedziała mu o układzie, jaki zawarła z Reece'em.

— Nie wierzyłam ani jednemu słowu Callahana, bo nie mogłam sobie wyobrazić, że kochany ojczym, którego tak podziwiałam, mógłby być oszustem i złodziejem. A on wyrolował i

ciebie, i Reece'a, i Bóg wie kogo jeszcze... — Głos się jej załamał. — A ja mu bezgranicznie ufałam, radziłam się w każdej ważnej sprawie... Boże, jaką byłam idiotką!

Ray pocieszająco otoczył ją ramieniem.

— Nie możesz mieć sobie nic do zarzucenia, Lauren. Uwierz mi, zachowałam się szlachetnie, przyjmując upokarzający układ dla oczyszczenia dobrej pamięci ojczyma. Działałam w dobrej wierze i nikt nie może mieć o to do ciebie pretensji.

— Roy, jak ja spojrzę w twarz Callahanowi? — jęknęła w skrajnej desperacji. — Nie wyobrażam sobie, żebym mogła teraz z nim się spotkać. Po tym, co się stało... — Milczała przez chwilę, zbierając myśli. — Słuchaj — odezwała się nagle — czy zabralibyście mnie do Vancouver? Stamtąd złapię samolot do Nowego Jorku. Pomożesz mi?

— Naturalnie. Wynieś bagaże przez taras, a ja przyłynę tu pontonem z jachtu. W ten sposób ominiesz recepcję. Czytało się szpiegowskie historie, nie? — Mrugnął do niej łobuzersko.

— Okay, daj mi pięć minut.

Lauren w pośpiechu wciskała rzeczy do toreb. Już nie martwiła się, że łamie umowę, tak naprawdę było jej wszystko jedno. Jeśli Reece opublikuje artykuł o aferze Wallace'a, a z pewnością tak zrobi, napisze tylko prawdę. Postać ukochanego ojczyma pozostanie realna tylko dla niej. Nagle wszystko straciło sens. Ogarnął ją tępy ból.

Musi wrócić do normalnego życia. Nie zniesie tylko jednego — widoku Reece'a. Poniosła klęskę tam, gdzie się najmniej spodziewała, czyli we własnej, intuicyjnej ocenie ludzi. Wesołkowaty, dobrotliwy styl bycia Wallace'a oczarował ją tak, że nie dostrzegła za tą fasadą drugiego, pokrętnego oblicza. Potem dała się omotać niszczycielskiemu urokowi Sandora, aby dopiero po latach zrozumieć, że miała do czynienia z bezwzględnym tyranem, człowiekiem głęboko nieprawym i kochającym tylko siebie.

A Reece? Czy będzie trzecią fatalną pomyłką?

Po namyśle napisała na karteczce parę słów. Dowiedziała się prawdy o swoim ojczymie, odjeżdża i nigdy więcej nie chce widzieć Reece'a. Niech publikuje, co chce i gdzie chce, nic jej do tego, bowiem jest świadoma, że zerwała kontrakt. Położyła kartkę na łóżku, a potem chyłkiem wymknęła się na nabrzeże, gdzie w pontonie czekał na nią Ray.

Potężne silniki „Zwycięzcy” mruzczały cicho. Lauren stała przy trapie. Rześki wiaterek rozwiewał jej włosy, chłodząc rozgorączkowane czoło. Zapatrzyła się w przestrzeń niewidzącymi oczyma. Nie myślała o ojczymie. Myślała o innym mężczyźnie. Nie kochała go, nie marzyła o

nim, nie pragnęła jego dotyku.

Dlaczego jednak miała wrażenie, że jej serce rozpada się w kawałki?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pięć minut po północy ledwie trzymająca się na nogach Lauren weszła do swojego studia na Manhattanie. Była wykończona długim lotem i stresem ostatnich dni, lecz mimo zmęczenia każdy nerw w niej drgał, napięty jak struna. Sekretarka telefonu migiała nagląco, lecz nie odsłuchiwała jej. Bała się usłyszeć głos Reece'a.

Już w drodze ułożyła plan, który postanowiła natychmiast wprowadzić w życie. Musi pojechać do Maine i sprzedać dom nad morzem, który ojczym zostawił jej w spadku, a potem odesłać pieniądze Reece'owi. Nie liczyła, że zdoła uzyskać sumę pięciuset tysięcy dolarów, które zdefraudował Wallace, ale liczyła przynajmniej na trzysta tysięcy. Muszą wystarczyć jako pierwsza rata.

Odnalazła klucz od posiadłości w Maine i papiery domu. Wyrzuciła rzeczy z torby podróżnej i szybko zapakowała nowe, które miały starczyć na kilka dni. Wzięła chłodny prysznic, by odpędzić zmęczenie, a potem wykonała kilka ćwiczeń relaksacyjnych. Odszukała kluczyki od auta.

Od razu poprawił się jej humor. Uwielbiała podróżować samochodem, prowadzenie zawsze ją uspokajało. Lubiła zatrzymywać się w motelach, jeść rano śniadania i znów ruszać w drogę, oddalając się od codziennych problemów.

W chwilę później sadowiła się za kierownicą. Jechała przez resztę nocy, a rano zatrzymała się w miłym, przydrożnym zajeździe. Stamtąd zadzwoniła do Charlie, zdając jej krótką, ale treściwą relację z ostatnich wydarzeń, a potem położyła się i spała mocno do południa. Po telefonie do agencji nieruchomości w Maine podróżowała dalej wzdłuż wybrzeża.

Kolejny nocleg wypadł w New Hampshire, i znów poczucie kompletnej anonimowości w kolejnym motelu. Około południa następnego dnia zajechała pod dom Wallace'a. Był to budynek o białych ścianach, w tradycyjnym nadmorskim stylu, otoczony dużym terenem, którego największą ozdobę stanowił ogród, pełen ziół i kwiatów, latem nasycających powietrze słodkim aromatem z rześką nutą słonej oceanicznej bryzy.

Lauren zawsze marzyła, że przeniesie się tutaj, kiedy będzie miała dość Nowego Jorku, lecz marzenia musiały pójść w odstawkę, skoro posiadłość została kupiona z ukradzionych pieniędzy.

Stała w bramie, z zalem żegnając się z kolejnym rozdziałem swojego życia. Drgnęła,

słyszając warkot silnika na podjeździe. Ze srebrnego mercedesa wysiadła korpulentna, miła kobieta, która przedstawiła się jako Marjorie z agencji nieruchomości. Już na wstępie z radością oznajmiła, że ma poważnego kupca.

— Wczoraj, kiedy wpadł tu na chwilę, na wiadomość, że dom jest do sprzedania, zostawił mi swoją ofertę razem z antydatowanym czekiem. Okazało się, że wypatrzył dom już dawno i czekał na okazję. Możemy w każdej chwili podpisać umowę, panno Courtney.

O to właśnie chodziło. Im szybciej, tym lepiej. Lauren zaprosiła Marjorie do środka i zapoznała się z warunkami umowy. Cena, jaką ofiarował ten człowiek, była bardziej niż korzystna. Bez wahania podpisała dokument. Agentka nie ukrywała zadowolenia.

— Powinam sobie życzyć, żeby wszystkie moje kontrakty przebiegały tak gładko — westchnęła. — Czy zdoła pani od razu się wyprowadzić?

— Oczywiście, po to między innymi tu przyjechałam — odparła Lauren. — Zaraz zadzwonię i załatwię wywiezienie mebli. Dziękuję, Marjorie, odezwę się za parę godzin, żeby oddać ci klucze.

Kobieta skinęła głową i natychmiast odjechała, jakby wyczuwając nastrój swojej klientki. Lauren wyruszyła na obchód domu. Słońce wpadało do pokoi, złocąc ściany i antyczne, dobrane z smakiem meble. Za oknami krzewiła się bujna zieleń. Kiedy otworzyła drzwi na taras, do wnętrza wpłynął poszum oceanu.

Łzy napłynęły jej do oczu, gdy przechodziła z pokoju do pokoju, po kolei żegnając się z nimi, gładząc palcami ramy obrazów i rzeźbione kształty starych sprzętów. Zatraciła się w tym sentymentalnym rytuale i dopiero gwałtowny dzwonek do drzwi przywrócił ją do rzeczywistości.

Reece zobaczył Lauren, stojącą w drzwiach, w smudze słonecznego blasku. Na ten widok serce skoczyło mu do gardła, gdyż wcale nie był pewien, że ją tu zastanie. Nie wyglądała na szczęśliwą. Jego widok wywołał zmieniające się jak w kalejdoskopie emocje — zaskoczenie, obawę i konsternację.

— Szybko wyjechałaś z jachtklubu — rzucił. Oczywiście chciał zacząć inaczej, bardziej miękko i pojednawczo, ale zmroziła go obojętność, malująca się na pięknej twarzy.

— Reece? — wyszeptała, trzymając się framugi, jakby to było jedyne oparcie w jej życiu. — Co tu robisz? Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

— Och, to nie było trudne. Najpierw sprawdziłem wszystkie hotele w Vancouver, potem twoją pracownię, ale nigdzie cię nie było. Wtedy wydedukowałem, że powinnaś trafić tutaj, i

natychmiast wsiadłem w samolot.

— Niepotrzebnie przyleciałeś — stwierdziła z nagłą irytacją. — Czy nie możesz zostawić mnie samej?

— Łączy nas układ, którego jeszcze nie sfinalizowaliśmy — warknął, zaciskając pięści.

— Daję ci wolną rękę, Reece. Zostawiłam list, który jest formalnym zerwaniem umowy, z wszystkimi przewidzianymi konsekwencjami. Możesz napisać co zechcesz o moim ojczymie i jego aferach. Wyobrażam sobie, co musiałeś o mnie myśleć, kiedy broniłam jego uczciwości. Naiwna idiotka! Dostałam nauczkę i teraz jestem mądrzejsza. Nie powinnam była ufać Sandorowi, nie powinnam była ufać Wallace'owi... A co do ciebie... lepiej, żebyś na zawsze zniknął z mojego życia.

Reece wsadził stopę pomiędzy drzwi a framugę, aby nie mogła mu ich zatrzaskać przed nosem.

— Nasze niedokończone układy nie mają nic wspólnego z Wallace'em — rzucił twardo.

Lauren nie chciała go słuchać. Policzki jej płonęły.

— Dobrze, skoro już tu jesteś, zapoznaj się z tym — powiedziała, podtykając mu pod nos papiery.

Przejrzał je szybko z zawodową wprawą. Był tam antydatowany czek na trzysta tysięcy dolarów, wystawiony na Lauren Courtney.

— O co tu chodzi?

— Właśnie przed chwilą sprzedawałam ten dom, a to jest suma transakcji. Teraz jestem ci winna jeszcze dwieście tysięcy, które spłacę, jak tylko sprzedam swoje studio.

— Zwariowałaś? — Popatrzył na nią w osłupieniu.

— Myślisz, że mogę żyć spokojnie, wiedząc, iż mój ojczym naciągnął cię na pół miliona dolarów?

— Nie ty to zrobiłaś, tylko on!

— Przez całe lata był dla mnie jak rodzony ojciec, zastępował mi rodzinę. Dlatego czuję się odpowiedzialna. A może nie rozumiesz takich moralnych niuansów?

— Lauren, nie przywykłem, by trzymano mnie w progach, jak pierwszego lepszego akwizytora. Może jednak zaprosisz mnie do środka?

— Nie mamy o czym rozmawiać, Reece.

Wyczuł, że mówi serio, ale oderwał jej palce od framugi i wcisnął się do środka. Na

moment znalazł się tuż przy niej, ciało przy ciele. Rezultat był oczywisty: natychmiast zapragnął pochwycić Lauren w ramiona i całować, dopóki nie zapomni o urazach i nie wtuli się w niego, spragniona i wyczekująca.

Szybko ruszył w głąb domu. Powitała go niepowtarzalna atmosfera tego miejsca. Chodził po pokojach, jak wcześniej Lauren, oglądając sprzęty i wsłuchując się w rytmiczny poszum oceanu.

— Tu właśnie mieszkałaś przez lata? — zagadnął, kiedy znów spotkali się w salonie.

Lauren siedziała skulona na kanapie, wpatrując się w napięciu w ścianę.

— Kiedy zamierzasz opublikować artykuł przeciwko Wallace'owi? — zapytała drewnianym głosem.

— Dlaczego uważasz, że to zrobię?

— Złamałam warunki umowy.

— Ja również. Nie było w niej mowy o seksie.

— Cieszę się, że nazywasz to dosadnie, a nie mówisz o Kochaniu się czy innych mrzonkach — skomentowała zjadliwie.

— To chwyt poniżej pasa!

— To jedyny język, jaki do ciebie do dociera.

— Naprawdę? Dlaczego w takim razie nie rzucisz mi twarz, że jestem podłym, bezdusznym bydlakiem? — zapytał z gładkim uśmiechem.

Wyprostowała się, zaciskając pięści w kieszeniach spódnicy.

— Potrafisz tylko niszczyć, nie budować — powiedziała gorzko. — Kochałam Wallace'a, kochałam ten dom. Gdyby matka bardziej dbała o mnie, kiedy byłam mała, może postępowałabym inaczej jako osoba dorosła. Nie pamiętam swojego rodzzonego ojca, a drugi z ojcymów tylko czekał, aż się wyprowadzę. Dlatego jako zagubiona nastolatka uznałam Harvarsona za mojego jedyne, prawdziwego ojca, bo tylko on dał mi poczucie bezpieczeństwa. Tylko on mnie rozumiał, prawdziwie ze mną rozmawiał... tylko on mnie kochał. Aż zjawiłeś się ty i jednym ruchem zburzyłeś wszystko, cały mój z takim trudem budowany spokój. Zniweczyłeś we mnie poczucie bezpieczeństwa. Czy taki już jesteś, że wszystko niszczysz jednym ruchem? Kałuża krwi na chodniku w Chicago... Reece boleśnie zacisnął powieki, a potem odezwał się tonem, jakiego używał w interesach:

— Zamierzam zaoferować nabywcy podwójną cenę za ten dom i zwrócić ci go.

— Naprawdę myślisz, że pieniądze załatwią wszystko? — zapytała łamiącym się głosem. Słowa, które teraz powiedział, wypłynęły z głębi, której u siebie nie podejrzewał.

— Powiedz mi, co kochałaś w swoim ojczymie? — zapytał miękko.

— Był tak dobry, tak miły, zawsze wprawiał mnie w dobry humor i potrafił pocieszyć. Wyśpiewywał stare hity z Broadwayu, ile sił w płucach, i uczył mnie słów. Miał szalone pomysły, na przykład kąpał się w kwietniu, albo jeździł na rowerze po śniegu, i... zawsze mogłam mu się zwierzyć, zawsze mnie wysłuchał. Był mądry. I dawał mi mądre rady.

Łzy spłynęły jej po policzkach, ale nie uczyniła najmniejszego gestu, by je obtrzeć. Reece wyczuł, że tym razem czułe dotknięcie na nic się nie zda.

— Dlaczego myślisz, że wiedza o jego finansowych przekrętach jest w stanie wymazać z twojej pamięci wszystko, co dobre? — zapytał łagodnie. — Lauren, ludzie nie są albo czarni, albo biali, i dobrze o tym wiesz. Owszem, Wallace oszukiwał, ale podobnie jak Robin Hood grabił tylko bogatych. Ale przede wszystkim był wspianiałym ojczymem, który godnie zastąpił ci ojca i na ile tylko mógł, uratował twoje dzieciństwo. Jedna strona jego osobowości nie neguje drugiej, ponieważ nie mają one nic do siebie. Uważaj, żebyś nie wylała dziecka z kąpielą. Po tym, co o nim mi powiedziałaś, straciłem wszelką złość do Wallace'a.

— Naprawdę tak uważasz?

— Oczywiście. Są różne rachunki w życiu i jestem pewien, że Wallace dał ci dużo więcej, niż zabrał mnie. Pieniądze albo są, albo ich nie ma, znikają i pojawiają się. To gra, albo nawet zabawa... Kupuje się za nie przedmioty, akcje, posiadłości. Coś, co można wycenić. A Wallace dał ci to, czego wycenić się nie da, czyli troskę, miłość i poczucie bezpieczeństwa, których rozpaczliwie potrzebowałaś.

— Masz rację — powiedziała powoli. — Tak było.

— Był człowiekiem niedoskonałym, jak my wszyscy.

— Kiedy zarzuciłam ci, że wszystko zniszczyłeś, sprawiałeś wrażenie... byłeś wstrząśnięty. O czym wtedy myślałaś, Reece? — zapytała łagodnie.

Reece poczuł ucisk w gardle. Nie mógł jej tego powiedzieć, bo jeszcze nikomu nie opowiadał o koszmarze, który przeżył po wyjściu z banku. Przed ośmioma laty jego konająca matka prosiła, aby opiekował się młodszą siostrą. Ale brat zawiódł i Clea umarła.

Na moment odplynał myślą ku tamtym dniom, a kiedy wrócił, zobaczył współczujące, zaaferowane spojrzenie Lauren. Podeszła bliżej i chwyciła go palcami za rękaw, skubiąc go

nerwowo.

— Proszę, powiedz mi.

— Nie mogę — powiedział głucho.

W jej oczach zobaczył nieme błaganie. Nagle uświadomił sobie, że w sprawach uczuć ufał jedynie Clei, lecz ten rozdział został na zawsze zamknięty. A teraz Lauren żądała, by obdarzył ją równie wielkim zaufaniem.

— Jak mogę ci zaufać? — Wzruszył ramionami. — Przecież znamy się tak krótko.

— Wczoraj spaliśmy ze sobą.

— Obnażenie ciała nie równa się obnażeniu duszy.

— Dla mnie tak.

— Dla mnie nie.

— W takim razie nie mamy sobie nic do powiedzenia — stwierdziła z urazą. — Niedługo przyślę ci czek na trzysta tysięcy. Brakujące dwieście dostaniesz, kiedy sprzedam swoją pracownię — poinformowała go chłodnym tonem kobiety interesu.

— Jeżeli tylko twoje studio znajdzie się na rynku, wykupię je i zwrócę ci — zapowiedział.

— Nie ośmielisz się!

— Przekonasz się. Zresztą pieniędzy za ten dom również nie przyjmę.

— Reece, chcę załatwić tę sprawę najlepiej jak mogę.

— Dziewczyno, gdzie będziesz tworzyć, jeżeli sprzedasz pracownię? Na ulicy? Czy ty w ogóle potrafisz myśleć realnie?

— Sprzedam parę prac i coś wynajmę. — Wzruszyła ramionami. — Dotąd dawałam sobie radę, więc poradzę sobie w przyszłości.

— A co będzie, jeśli okaże się, że jesteś w ciąży? — dopytywał się ze złością. — Myślałaś o tym?

Lauren zbladła.

— Nie...

— Stosujesz jakieś środki?

— Jasne, że nie, przecież nie spałam z nikim od czasów Sandora. Wiesz, to się stało tak szybko, że nie zdążyłam nawet pomyśleć o antykoncepcji. — Była bardzo zmieszana.

— Ani ja, za co biorę pełną odpowiedzialność. Lauren, czy nie rozumiesz, że jesteśmy ze

sobą związani i nie możemy już iść różnymi drogami?

— Nie! — Odstąpiła krok do tyłu, w plamę słońca, odgradzając się od niego gestem. — Nasz układ został roz—wiązany — powiedziała twardo. — Przyślę ci czek i dalej już nic mnie nie obchodzi. Możesz go przeznaczyć na bezdomne psy i koty.

Ona naprawdę jest gotowa to zrobić, pomyślał z rozpaczą. Nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Czuł się tak, jakby ktoś wsadził mu nóż pod żebro i powoli obracał.

A potem ogarnęła go zimna furia. Nie będzie się płaszczył przed tą kobietą. Jeśli nie chce go, niech idzie w diabły. Nie będzie błagał, nie będzie się poniżał.

— Zadzwoń do ciebie za miesiąc, żeby sprawdzić, czy nie jesteś w ciąży — powiedział. Stała w blasku słońca, piękna jak anioł mimo gniewnej, zaciętej miny. Lauren Courtney, jego obsesja. — Do widzenia, Lauren — powiedział ze sztuczną uprzejmością i niemal pędem wybiegł z jej domu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Lauren pogłodziła muzykę. W pracowni kłębił się tłum, obficie raczący się winem i piwem. Wszyscy mieli świetne humory. Poza gospodynią.

Nie minął tydzień od czasu, gdy Reece odwiedził ją w domu, który odziedziczyła po ojczymie. Sprzedała go bez kłopotu i niezwłocznie wysłała czek do londyńskiej siedziby Callahana. Zaczęła też rozmowy z agencją w sprawie sprzedaży pracowni, ale coś powstrzymało ją od ostatecznych decyzji. Czyżby obawa, że kupcem okaże się Reece?

Dzwonek u drzwi rozbrzmiał po raz kolejny. Tym razem był to Sam, z bukietem pięknych białych lilii i butelką bardzo dobrego wina.

— Chyba schowam to na później, bo moi artyści nawet nie zauważą, co piją — powiedziała z uśmiechem, witając się z nim serdecznie. — A kwiaty są przepiękne.

— Przypominają miniaturowe rzeźby. Przepraszam, że się spóźniłem, ale spotkanie się przedłużyło. Wyglądasz olśniewająco, jak zwykle.

Lauren miała na sobie obcisłą suknię z błyszczącym, mocno wyciętym stanikiem. Włosy okalały twarz gęstwą kędziorów. Wydała to przyjęcie także po to, aby się pocieszyć, bo daleko jej było do bez troski.

— Chodź, poznasz moich przyjaciół — zachęciła Sama.

— A będę mógł najpierw z tobą zatańczyć? — zapytał i zanim zdążyła odpowiedzieć, porwał ją w ramiona i posterował w stronę wolnej przestrzeni na środku wysokiego pomieszczenia, otoczonego galerią.

— Fajnie, że znów cię widzę — powiedział. — Czy twój kontrakt z Reece'em już się skończył?

Lauren na moment zmyliła krok.

— Tak.

— Powiesz mi, o co lam właściwie chodziło?

— Wolałabym nie.

— Wpadł dzisiaj na nasze zebranie, dlatego właśnie się spóźniłem. Wyglądał strasznie.

— Reece jest w mieście? — jęknęła. — Powiedziałeś mu, że idziesz do mnie?

— Skąd.

— To dobrze — odetchnęła z ulgą.

— Lauren, Reece jest cholernie porządnym facetem, no, może trochę autokratycznym.

— Trochę? To istny tyran i satrapa! W dodatku neguje wszelkie uczucia.

Tym razem Sam zgubił krok.

— Jeśli tak, to musi mieć jakiś powód.

— Fajnie, powiedz mi, jaki.

— Tylko Reece może ci to powiedzieć.

— Chyba nie dożyję tego momentu — szydziła.

— Czemu sama go nie zapytasz?

— Próbowałam. Zero odzewu.

— Spróbuj jeszcze raz.

— Po tym, jak powiedziałam, że nie chcę go więcej widzieć, może to być trudne.

— Dwoje autokratów — podsumował Sam. — Hej, zobacz, ten model w fioletowym sarongu wpuszcza jakichś gości za twoimi plecami. To jest okay?

— Moje balangi często zaczynają żyć własnym życiem. Wiesz, te stada głodujących, spragnionych artystów...

— Zobacz, kto przyszedł — wpadł jej w słowo.

Coś w jego głosie sprawiło, że natychmiast się odwróciła. Wśród gwarne go tłumu stał Reece. Ich spojrzenia zetknęły się i już nie rozłączyły. Mimochodem zauważyła, że jego elegancki garnitur i krawat interesująco kontrastowały z fioletowym sarongiem faceta, który otworzył drzwi, a którego imienia zawsze zapominała. Wreszcie z trudem udało się jej odwrócić wzrok.

— Imponująco wygląda, nie? — zachichotał Sam. — Nie powitasz go?

— Nie ma mowy — spłoszyła się. Wesołkowata twarz Sama nagle spoważniała.

— Lauren, przecież ty i Reece jesteście dla siebie stworzeni. I wiecie, że tak jest, choć żadne z was się do tego nie przyzna.

— Dawno nie słyszałam czegoś tak zabawnego.

Sam zdawał się na zwracać uwagi na tę bezsensowną ripostę, tylko niepostrzeżenie i zręcznie sterował Lauren wśród tłumu gości.

— Jesteś kobietą, której Reece potrzebuje — tłumaczył. — I wcale nie jest ci obojętny. — No, dopłynęliśmy do portu — stwierdził, kiedy dotarli do barku. — Dalej dasz sobie radę sama, a ja, jeśli pozwolisz, pozeleguję w kierunku tej bujnej blondyny, która stoi przy oknie.

— Fajnie, dzięki.

Dopiero teraz spostrzegła, że stoi przed Reece'em. Odniosła wrażenie, że jest nie mniej poirytowany tym spotkaniem, niż ona sama.

Postanowiła przejąć inicjatywę.

— Posłuchaj, jeśli przyszedłeś tu, żeby urządzić mi kosmiczną awanturę, albo przeciwnie, uwić sobie ciepłe gniazdko na noc, to trafiłeś pod zły adres.

Mięsień zadrgał w napiętej szczęce Callahana.

— Jesteś w ciąży? — zapytał bez ogródek. Zamrugwała rzęsami z roztargnieniem.

— Jeszcze za wcześnie, żeby to stwierdzić, a poza tym wątpię, czy przyszedłeś tylko po tę informację — odparowała. Ktoś podkreślił potencjometr i zabawa nabrała nowego tempa. Oboje tkwili pośród tego wiru, odizolowani od rzeczywistości, jak na bezludnej wyspie.

Reece wcisnął ręce do kieszeni i powiedział niskim głosem:

— Przyszedłem, Lauren, bo chcę się znów z tobą kochać. Bardzo mi głupio z powodu naszego pierwszego razu, ale byłem spięty, bo wiedziałem, że za ścianą czekają na mnie ludzie. Wyszło fatalnie, ale nie mogłem się opanować, kiedy zobaczyłem ciebie w zsuwającym się ręczniku. — Zaaferowanym gestem przecesał palcami włosy.

— Nie wiem, czy wystarczą ci moje wyjaśnienia. Nie śmiem liczyć, że mi wybacysz.

Złość Lauren opadła natychmiast. Znała tego człowieka na tyle, by wyczuć, że mówi szczerze jak nigdy dotąd. Dlatego odpowiedziała z równą szczerością:

— Reece, mam powody, żeby ci odmówić. Ale dziękuję za przeprosiny.

Skrzyżowała ramiona na piersi. Właściwie może mu powiedzieć całą prawdę, której zresztą i tak pewnie się domyśla.

— Nienawidziłam chodzić do łóżka z Sandorem. Nazywał mnie zimną rybą, i zresztą miał rację. Następny raz z tobą byłby potwierdzeniem jego opinii, a tego nie chcę. Teraz rozumiesz?

— Mój Boże... — Oszolomiony Reece pokręcił głową.

— Ten bydlak ci to zrobił?

— Nie musiał, po prostu urodziłam się taka — stwierdziła z rezygnacją.

Reece łagodnym, ciepłym gestem położył dłonie na ramionach Lauren.

— Bzdury, nie ma oziębłych kobiet. Są tylko mężczyźni, którzy nie potrafią ich rozgrzać — powiedział żarliwie, patrząc jej w oczy. — Pamiętasz nasze pocałunki w Vancouver?

Pamiętasz tę noc, kiedy niosłem cię do sypialni? Wiem, że straszliwie mnie wtedy pragnęłaś, podobnie jak ja ciebie, czułem to. Zróbmy to jeszcze raz, Lauren, chociażby po to, aby udowodnić, że Sandor się mylił.

— A jak nie udowodnimy? — zapytała niepewnie, spuszcżając wzrok. — Reece, zrozum, boję się.

— Przysięgam, że tym razem zrobię wszystko, abyś poczuła się jak prawdziwa kobieta. Jeżeli tylko będziesz miała dosyć, powiesz słowo, a przestanę. Proszę, Lauren — powiedział czule, gładząc ją wierzchem dłoni po policzku.

— Fajnie, a co będzie, jeśli mi się to za bardzo spodoba? — zapytała, łykając łzy. — Pocałujesz mnie na do widzenia i odleczisz do Kairu?

— Nie muszę tam lecieć. Ktoś mnie zastąpi.

— Sama nie wiem, co przeraża mnie bardziej... Czy to, że będzie strasznie, czy to, że będzie pięknie — powiedziała niepewnie.

— Musisz mi zaufać, kochana — powiedział z przejęciem. — I sobie samej.

— Zaufanie musi być obopólne, Reece — wyrzekła wolno i popatrzyła mu w oczy. — Czy powiesz mi, jak umarła twoja siostra?

Mimowolnie wpił paznokcie w jej ramiona. Drgnęła, ale nie cofnęła się. A potem zaczął mówić, jakby nagle pozbył się wszelkich emocji i napięć.

— To było w Chicago. Poprosiłem, żeby zaczekała przed bankiem. Dosłownie chwilę, bo chciałem tylko wejść do bankomatu, który był w holu. Kiedy wyszedłem, dogorywała na chodniku w kałuży krwi. Jakiś narkoman na głodzie chciał ją obrabować, a kiedy się broniła, pchnął nożem. A matka na łożu śmierci powierzyła mi opiekę nad nią.

Lauren otoczyła Reece'a ramionami i przygarnęła do siebie z istic macierzyńską troską.

— Tak mi przykro — wyszeptwała.

— Minęło już pięć lat od tamtego czasu.

— Czy Sam o tym wie?

— Był chłopakiem Clei.

— Nic mi o tym nie mówił.

— Bo prosiłem go, by milczał.

Wpiła się spojrzeniem w twarz Reece'a. Kochał Cleę, a Clea umarła.

— Ale mnie nie kochasz. — To było raczej stwierdzenie niż domysł.

— Lauren, przede wszystkim chcę zrewanżować się za to, co stało się w jachtklubie — powiedział z naciskiem. — I chcę wiedzieć, czy masz ochotę się ze mną pokochać, czy nie. — Zsunął dłonie z jej ramion, nie chcąc wywierać presji za pomocą pieśczoły.

Lauren to zrozumiała. Decyzję miała podjąć ona. Reece dawał jej szansę, by wreszcie pozbyła się wszechobecnego cienia Sandora. O tym samym mówiła też Charlie.

Szansę. Nie pewnoś. W ostatecznym rozrachunku wszystko zależało od niej.

— Tak — wymamrotała w końcu, lecz jej słowa zagłuszył głośny rap. >

— Powtórz, Lauren, nie słyszę — poprosił.

— Tak, chcę! — wrzasnęła. Dokładnie w tym samym momencie ktoś wyłączył muzykę i jej deklaracja rozbrzmiała echem w całej pracowni. Wszystkie głowy zwróciły się ku nim, powietrze zatrzęśło się od śmiechu, a wodzirej w fioletowym sarongu uniósł nad głową puszkę piwa i krzyknął:

— Cały wieczór czekałem aż to powiesz, kochanie!

Spienione piwo chlusnęło strumieniem, a jego właściciel pobłogosławił ich promiennym uśmiechem. Lauren stłumiła histeryczny chichot. Za moment znów wybuchła muzyka i zaprzyjaźniony malarz, Dały, porwał ją do szalonego tańca, nie zważając na kwaśną minę Reece'a.

Przez następną godzinę Lauren nadrabiała zaległości jako gospodyni. Jednocześnie z jedzeniem podała kawę i zachęcała do niej dyskretnie, lecz sugestywnie, w nadziei, że goście pojną aluzję i szybko się pożegnają. Reece, ku jej ogromnej uldze, trzymał się dyskretnie na dystans, choć bez ustanku śledził ją wzrokiem.

W końcu, o drugiej w nocy, goście zaczęli wychodzić. O trzeciej Lauren i Reece stali w drzwiach, żegnając ostatnich maruderów. Wreszcie z ulgą zamknęła zasuwę.

— Pamiętaj, że dla nas zabawa się nie skończyła — podkreślił Reece. Wrócił do pracowni i na nowo puścił muzykę. Zadudniła echem w opustoszałym pomieszczeniu. Lauren poczuła się jak uczeń przed egzaminem.

— Chodźmy, kochana — powiedział miękko. Sypialnia i łazienka mieściły się na górze. Lauren zdjęła pantofle i boso ruszyła po schodach. Reece, idąc za nią, podziwiał wężową giętkość jej ciała w sukni przylegającej jak druga skóra.

— Pójdę wziąć prysznic — powiedziała, przed drzwiami łazienki.

— Weźmiemy go razem — zaproponował.

— Nie! Nie będę tam długo — szepnęła i umknęła jak spłoszona sarna.

Kiedy weszła do sypialni, otuliła się ciasno płaszczem kąpielowym, jakby było jej zimno. Reece, siedząc na łóżku, zdejmował skarpetki. Koszula bielila się, rzucona na oparcie fotela.

— Ja też wezmę prysznic — uśmiechnął się do niej. — Masz dla mnie jakiś ręcznik?

— Są w szafce w łazience — odparła, podziwiając cudowną grę jego mięśni. Usiadła na łóżku, nerwowo splatając ręce.

Prawie natychmiast zjawił się powrotem, owinięty ręcznikiem w pasie. Lauren poprosiła zduszonym głosem:

— Zgaś światło, proszę.

Posłuchał i mrok, nasycony poświatą miasta, ogarnął pokój.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Reece usiadł na łóżku i delikatnie ujął dłonie Lauren. Były lodowato zimne. Muszę je rozgrzać, pomyślał. Rozgrzać dłonie i serce. Zaleczyć rany, które zadał jej ten łajdak Sandor, i wyzwolić z ukrycia żywiołową, namiętą kobietę. Powściągając narastające pożądanie, musnął wargami usta Lauren.

— Moja piękna — szepnął. — Tak się cieszę, że jesteśmy razem. — Sam dziwił się, jak prawdziwe były jego słowa. Pragnął ciała tej kobiety, to oczywiste, ale pragnął także jej całej osoby.

Pieszczotliwie skubnął wargami dolną wargę Lauren, a potem zaczął powolny, głęboki pocałunek. Czując natychmiastowy odzew, zaczął gładzić rękami jej ramiona. Tylko powoli, upominał się w myśli. Ten czas ma należeć do niej, nie do ciebie.

Wstydliwie skryła twarz w zagłębieniu jego ramienia. Pachnące włosy opadły mu na pierś. Powoli uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

— Sama nie wiem, czego chcę... pokaż mi, czego chcę, dobrze, Reece?

Serce waliło mu jak młotem, kiedy powiódł ustami w dół, po napiętej linii szyi, gdzie puls tańczył dziki taniec. Niecierpliwym ruchem ręki rozsuptał węzeł szlafroka. Miękkie poły rozchyliły się, ukazując ciało bielejące w łagodnej poświacie.

— Chcę, żebyś się ze mną kochał — szepnęła Lauren, rozbierając się do końca.

Widok krągłych, pełnych piersi i smukłych, kształtnych bioder oszołomił Reece'a. Poczuł się tak, jakby nigdy przedtem nie kochał się z żadną kobietą, jakby niespodziewanie otrzymał bezcenny dar, na który nie zasłużył.

Chciał dać tej kobiecie tyle najwspanialszej rozkoszy, ile tylko mógł. Pieścił i całował jej piersi, aż z jękiem zaczęła ocierać się o niego swoim gibkim ciałem jak kotka. Spojrzenie miała nieprzytomne z zachwytu. Powoli przesunął dłoń na jej brzuch, a potem jeszcze niżej, między uda, w wilgotny żar. Lauren krzyknęła cienko, ostro i podała ku niemu biodra namiętym, niewprawnym ruchem. Reece wiedział, że musi teraz działać ze szczególnym wyczuciem, bo jeden nieopatrzny gest mógł zniweczyć piękno zbliżającej się chwili.

— Reece, och, Reece... nigdy w życiu nie czułam czegoś tak cudownego, szalonego — westchnęła.

Uśmiechnął się w odpowiedzi i szybko sięgnął po małą paczuszkę, leżącą obok na

nocnym stoliku. Kiedy wszystko było gotowe, wszedł w Lauren powoli i delikatnie, choć żądza nagliła go boleśnie. Poruszał się w niej wolno, pozwalając, by odnalazła z nim wspólny rytm. Aż wreszcie oboje doszli do punktu, w którym dwoje ludzi zapamiętuje się w błogiej jedności.

Leżeli, nasłuchując cichnącego łomotu swoich serc, wpatrując się zachłannie w swoje twarze, w nieprzytomnie patrzące oczy.

— Lauren — szepnął Reece — dobrze ci było? Przyłgnęła do niego mocniej, wparła się rozpaczliwie i zaczęła łkać krótkimi, gwałtownymi spazmami, które wstrząsały całym jej ciałem.

— Czy zrobiłem coś złego, kochana? — zaniepokoił się.

— Nie, byleś wspaniały, tak strasznie cię chciałam. To tylko ja.... przepraszam, jeżeli...

Zaczął się śmiać i przytulił ją mocno, serdecznie.

— Dość tych przeprosin — oznajmił stanowczo. — Chyba nie powinniśmy narzekać, co?

— Tak — uśmiechnęła się, ocierając resztki łez.

— Następnym razem będzie jeszcze lepiej — stwierdził z błyskiem w oku.

— Jak długo będę musiała czekać? — Mrugnęła do niego zalotnie.

— Nie tak długo, jak myślisz.

Jego dłonie znów zaczęły błądzić po ciele Lauren.

Ostry dźwięk telefonu wyrwał Lauren z głębokiego snu. Wysunęła się z objęć Reece'a i sięgnęła po słuchawkę, ale odpowiedział jej ciągły sygnał.

— To moja komórka — mruknął, siadając na łóżku. — Cholera, gdzie położyłem marynarkę?

Wstał i wyłuskał ze sterty ubrań dzwoniący aparat.

— Halo? — warknął zaspanym tonem. A potem, w coraz większym skupieniu, słuchał przez kilka minut.

Lauren przyglądała mu się z łóżka, przeciągając się rozkosznie. Stopniowo jednak zaczęło dochodzić do niej, czego dotyczy rozmowa, i poczuła chłodny ucisk w sercu.

— Cholera, Gary, wprost nie mogę uwierzyć — mówił Reece z entuzjazmem. — Jasne, przyjadę, jak najszybciej się da, ale nie obiecuję, że zdążę na popołudnie. Odbierzesz mnie z Heathrow? Dobra, w takim razie do zobaczenia.

Nawet na nią nie spojrzął, tylko od razu zaczął wykრęcać numer.

— Randolph? Podstaw samochód za piętnaście minut. — Podał adres Lauren. — Tak, na JFK. Zadzwoń do Toma, niech chłopaki na lotnisku grzeją silniki. Mamy pilny przelot do Londynu. Dzięki.

Wrzucił komórkę z powrotem do kieszeni i dopiero teraz raczył odwrócić się do Lauren.

— Słyszałaś wszystko, prawda? Muszę natychmiast lecieć do Londynu. Jeśli nie dotrę tam dzisiaj, padnie wielki kontrakt, nad którym pracowaliśmy przez ostatnie cztery miesiące. Tylko ja mogę uratować sprawę.

Oczy mu błyszczały. Przysięgłaby, że myśli już tylko o taktycznych posunięciach. Chwyliła kołdrę i otuliła się nią, jakby nagość wydała się nagle nie na miejscu.

— Jedź — powiedziała krótko.

— Skąd mogłem wiedzieć? — wybuchnął. — Myślałem, że przewidzieliśmy wszystkie możliwe warianty. Myliłem się jak diabli. Tak bywa w biznesie. Przecież wiesz, że starałem się urządzić wszystko tak, aby być z tobą.

— Tak, oczywiście.

Reece niecierpliwie przyciągnął ją do siebie.

— Lauren, posłuchaj, nie jestem w stanie ci powiedzieć, jak byłaś cudowna, choć chciałem o tym mówić godzinami. Ta sprawa powinna mi zająć najwyżej tydzień, a potem wrócę i porozmawiamy o wszystkim, zanim znów wyjadę do Kairu.

— Lepiej się ubierz — ucięła. — Kierowca będzie za kilka minut.

— Nie słuchasz mnie! Wiem, że to nie jest odpowiednia chwila do rozmowy, ale świat nie kończy się na tym wyjeździe. Ja wrócę, słyszysz?

— Jeśli będę jeszcze ciebie chciała.

— Oczywiście, że będziesz — warknął, całując ją z namiętą furią, która rozpałała na nowo jej pożądanie, nie niweczając jednak złości.

— Och, to wszystko stało się tak szybko — jęknęła zdesperowana. — Zaledwie zaczęło być pięknie, już odlatujesz tysiące kilometrów stąd. Oczekujesz, że uronię parę łezek i jak dobrze wytresowana żona marynarza pomacham ci chusteczką na pożegnanie?

Roześmiał się i wielkie napięcie w jego twarzy nieco złagodniało.

— Może nie aż tak, ale chcę, żebyś mi ufała. Zadzwoń do ciebie za parę dni i powiem, jak stoją sprawy. A teraz wybac, ale naprawdę muszę się zbierać.

Chwylił w pośpiechu ubranie i zniknął za drzwiami łazienki. Lauren nie mogła dalej leżeć, coś ją nosiło. Pomyślała, że najlepiej zrobi jej wielkie sprzątanie. Ubrała się i zeszła na dół. Bałagan był kosmiczny. Nastawiła kawę w ekspresie i usiłowała ustalić, od czego zacząć. Z determinacją zakasała rękawy.

— Randolph już czeka. Muszę iść, kochana. — Głos Ree—ce’a rozległ się tuż za jej picami. — Popatrz na mnie.

Niechętnie uniosła wzrok. Wolałaby, żeby już zniknął, gdyż pożegnanie było zbyt bolesne. Z drżeniem wspięła się na palce, aby pocałować go w same usta.

— Powodzenia, Reece... — Z wielkim trudem ukrywała wzruszenie.

Czule ujął jej głowę.

— Odezwę się wkrótce — rzucił i pomknął do drzwi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pierwszy dzień bez Reece'a minął całkiem gładko, gdyż Lauren była zajęta sprzątaniami domu po przyjęciu. Pod koniec była tak zmęczona, że dosłownie padła na łóżko. Nazajutrz skupiła się na zaległych sprawach. Popłaciła rachunki, odwiedziła kilka galerii i zrobiła zakupy. Przekonała się także, że nie jest w ciąży. Ostatnią rzeczą, , jakiej teraz potrzebuję, jest dziecko z tym facetem, pomyślała gorzko.

Telefon rozdzwonił się dopiero po południu, lecz nie był to Reece. Sam zapraszał ją do kina, fioletowy sarong na wycieczkę za miasto, a miły głos koniecznie pragnął przeprowadzić ankietę telefoniczną. Wszystkim bardzo uprzejmie odmówiła.

Dopiero o siódmej wieczorem, gdy chwyciła słuchawkę, przeklinając swoje piekielne uzależnienie od telefonicznego dzwonka, usłyszała głos Reece'a.

— Lauren, to ty?

— Gdzie jesteś?

— W Londynie, na lotnisku. Nie oglądałaś wiadomości?

— Nie. Co się stało?

— Muszę lecieć do Ekwadoru. Trzech pracowników z mojego przedsiębiorstwa porwano wczoraj jako zakładników. Wynająłem zawodowych negocjatorów, ale sam również muszę być na miejscu, choćby dlatego, żeby moi ludzie wiedzieli, że jestem z nimi.

Wyczuła w jego głosie starannie kontrolowane napięcie. Rozumiała go.

— Jak myślisz, długo to potrwa? — Starła się być równie opanowana.

— Nie mam pojęcia. Czasami wszystko załatwia się szybko, a czasami rokowania ciągną się całymi tygodniami. Wiesz, jak jest w tych krajach. Lauren, jest mi strasznie przykro, bo znów nie mogę dotrzymać obietnicy, ale nie wybaczyłbym sobie, gdybym ich zostawił. Pracują dla mnie, mają rodziny... Myślę, że zrobiłabyś to samo na moim miejscu.

— Będziesz na siebie uważał?

— Oczywiście — stwierdził niecierpliwie.

Był bardzo bogatym człowiekiem, idealnym kandydatem na kolejne porwanie. Przypomniała sobie wszystkie straszne historie, opisywane w mediach.

— Błagam, bądź ostrożny.

— Tak się o mnie martwisz? — zapytał po chwili ciszy.

— Bardzo, Reece. Zresztą martwiłabym się o każdego, kto by wpadł w ręce nieobliczalnych przestępców.

— Rozumiem — przytaknęła z nutą goryczy. — Nie mogę ci obiecać, że będę dzwonił codziennie, ale zrobię wszystko, żeby jak najszybciej być z tobą. Obiecuję. Czy wiesz już coś na temat ciąży?

— Nie jestem w ciąży.

— To dobrze. Nie potrzeba nam dodatkowych komplikacji.

Nie wytrzymała.

— Jasne, dziecko w twoim życiu, tak pełnym ważnych spraw? — rzuciła z sarkazmem.

— Lauren, proszę, nie pora na takie rozmowy.

Miał rację. Jak mogła myśleć tylko o własnej urażonej ambicji? Zacisnęła palce na słuchawce.

— Przepraszam, Reece. Nie mogę dojechać do siebie po twoim wyjeździe, źle śpię i pracuję jak szalona, żeby nie zwariować. Ale nie chcę, żebyś leciał do Ekwadoru, myśląc, że jestem na ciebie wściekła.

— Nie będę tak myślał, Lauren. Wybacz, ale muszę już kończyć. Poproszę kogoś z Londynu, żeby był z tobą w stałym kontakcie.

— Dzięki... pa... — wyszeptała, łykając łzy.

Powolnym ruchem odłożyła słuchawkę. Praca, pomyślała. Teraz liczy się tylko praca. Będę tworzyć, dopóki starczy mi sił. Dopóki on nie wróci.

Dni mijały w jednostajnym kołowrocie. Listopad przeszedł w grudzień. Dokładnie co trzy dni człowiek o nazwisku Ross telefonował z Londynu i donosił o braku postępów w negocjacjach i wygórowanych żądaniach porwaczy. Z czasem obie strony zaczęły się jednak dogadywać. Nie powinna się martwić, gdyż przedsięwzięto wszystkie możliwe środki ostrożności. Sam Reece dzwonił cztery razy, ale ledwie go słyszała. Wyczuwała tylko z głosu, jak bardzo musiał być wyczerpany bezustannym napięciem. Lauren jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak bezsilna i zarazem tak straszliwie samotna.

W ciągu dwóch tygodni stworzyła potężną rzeźbę z metalu i drewna, zupełnie inną od jej kameralnych prac. Po ukończeniu, jak zwykle wypalona wewnątrz i wyczerpana, zapragnęła odpoczynku i pociechy. Telefoniczne rozmowy z Charlie nie spełniały swojej roli, więc umówiła

się z Samem. Szczęśliwym trafem realizował projekt w Nowym Jorku i z radością przyjął zaproszenie.

Zjedli obiad w małym bistro przy Greenwich Village, a potem, gdy pili kawę. Sam zaczął opowiadać o Clei, malując obraz inteligentnej, uczuciowej dziewczyny, którą kochał i która kochała swojego brata.

— Reece załamał się po jej śmierci — mówił. — Podejrzewam, że do dziś się z tego nie otrząsnął. Nigdy nie widziałem, żeby był zakochany w którejkolwiek z kobiet, z którymi spotykał się potem. Sprawiał wrażenie, jakby był zrobiony z lodu. — Sam na moment zapatrzył się w dal nieobecnym spojrzeniem. — Jakaś częśćka mnie będzie zawsze kochać Cleę. Wiem, że bylibyśmy szczęśliwi, ale ona nie żyje już od pięciu lat, Lauren... a ja spotykam się z kimś w Bostonie.

— Z kimś miłym? — zapytała z uśmiechem. Zrobił łobuzerską minę.

— Miłym, ślicznym i w dodatku mistrzowsko grającym w tenisa. — Nagle spowaźniał. — Nie ośmieliłem się powiedzieć o tym Reece'owi, aby nie pomyślał, że zdradziłem pamięć Clei. Nigdy jej nie zdradzę. Ale życie toczy się dalej, Lauren, a ja chcę założyć rodzinę i zbudować dom za miastem. No wiesz, typowe marzenia w moim wieku. A propos domu, czy opowiadałem ci o wiejskiej rezydencji Reece'a w Prowansji?

Lauren słuchała z przyjemnością. Uwielbiała opowieści o nim z czasów, gdy go jeszcze nie знаła, kiedy był młodszy i szczęśliwszy. Powoli powstawał jego nowy portret. Portret człowieka pełnego rodzinnych uczuć, który nie był opętany przez ponure demony. Później, idąc spać, usiłowała rozwikłać jeszcze jedną zagadkę, a mianowicie dlaczego odesłał *jej* czek z sumą uzyskaną za sprzedaż domu Wallace'a, oraz dlaczego nie opublikował ani słowa na temat jej ojczyma.

Nazajutrz poszła do biblioteki i przejrzała stare numery gazet, w których pisano o śmierci Clei. Fotografie wstrząsnęły Lauren, zwłaszcza jedna, na której Reece stał samotny wśród tłumu z tragiczną twarzą, patrząc niewidzącym wzrokiem.

Podczas kolejnych dziesięciu dni znów pracowała jak w transie. Kiedy skończyła rzeźbę, zajęła się sprawą czeku, odrzuconego przez Reece'a. Wyszukała organizację w Chicago, zajmującą się dziećmi ulicy, sprawdził ją i posłała tam całą sumę.

Lecz jej dni stawały się coraz bardziej puste, podobnie jak łóżko, w którym przewracała się, nie mogąc zasnąć. Schudła i wyglądała tak mizernie, że przyjaciele zaczęli prześcigać się w

dobrych radach, od kuracji witaminowej po wyjazd na tropikalne wyspy. Pewnego grudniowego dnia, gdy szaf świątecznych zakupów rozkręcił się na dobre, a podły nastrój Lauren sięgnął ostatecznego dna, zadzwonił telefon.

— Lauren, jestem w Londynie.

Ten głos! Serce zabiło jej jak szalone.

— Reece? Czy wszystko w porządku? — wyjąkała.

— Tak, tak. Hej, czemu płaczesz? — Jego głos również się łamał.

— To nic, zaraz mi przejdzie — łkała, ocierając mokre policzki.

— Przyleciałem parę godzin temu. Rodziny porwanych czekały na nas na lotnisku... Zajmują się nimi psycholodzy, ale ja już nie jestem im potrzebny.

— Wszyscy zostali zwolnieni?

Krótko opisał jej całą akcję, lecz niewiele z tego zapamiętała. Reece wrócił i jest w Londynie, tylko to było ważne.

— Lauren, jesteś tam? — upewnił się. — Tak? Posłuchaj, resztę opowiem ci później, a teraz mam propozycję... Może przyjechałabyś do mnie na święta, do Surrey? Jest tam miejsce, które na pewno ci się spodoba.

— Ale... nie wiem, czy uda mi się kupić bilet na samolot w przedświątecznym szczycie.

— Załatwię ci, mam swoje chody. Więc jak, przylecisz?

— Tak, Reece.

— W takim razie organizuję ci bilet na dwudziestego trzeciego.

Jak ja wytrzymam te dziesięć dni, pomyślała z niecierpliwością.

— Muszę jednak postawić warunek — zaznaczyła.

— Jaki? — momentalnie stał się czujny.

— Damy sobie tylko po jednym prezencie, ręcznie robionym, który nie będzie kosztować więcej niż dwadzieścia pięć dolarów.

W słuchawce rozległ się śmiech.

— Kupuję ten pomysł! Och, Lauren, nie masz pojęcia, jak marzę, żeby cię wreszcie przytulić.

Powiedział to takim głosem, że całe jej ciało ogarnął płomień.

— Chyba czeka nas szczęśliwe Boże Narodzenie — westchnęła, przymykając oczy. — Musimy jakoś wytrzymać te dziesięć dni. Uważaj na siebie, dobrze?

— Ty też. Do zobaczenia.

Lauren odłożyła słuchawkę, włączyła radio na cały regulator i zaczęła pisać po domu w rytmie starego przeboju Binga Crosby'ego.

Boże Narodzenie z Reece'em. Czy mogła marzyć o wspanialszym prezencie od losu?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Reece stawił się w hali przylotów pół godziny wcześniej. Zwykle przyjeżdżał po kogoś w ostatniej chwili, ceniąc swój czas, jednak teraz stał wśród tłumu i niecierpliwie śledził cyfry na tarczy zegara, zmieniające się z nieznośną powolnością. To nie w jego stylu, jak powiedziałaaby Lauren. Wreszcie ogłoszono przylot i w tłumie wylewających się z bramek pasażerów wysledził wysoką kobietę o turkusowych oczach, poszukującą go wzrokiem. Pomachał nad głową bukietem, który trzymał w ręku, i zobaczył, jak jej twarz rozjaśnia radosny uśmiech. Zaczęła energicznie przepychać się ku niemu.

— To nie jest twój prezent świąteczny, tylko powitalny — powiedział, wręczając jej bukiet.

— Och, bzy! — zachwyciła się. — Skąd wzięłeś je o tej porze roku?

— Nie było łatwo, ale udało się. Witaj na angielskiej ziemi, kochanie.

Policzki jej płonęły. Wyglądała jednocześnie szczęśliwie i niepewnie. Reece pochylił się u pocałował ją w usta.

— Masz pojęcie, jak cholernie cię pragnąłem? — szepnął niskim, nabrzmiętym emocją głosem.

— Nie wiem, czy to dobre miejsce, byś mi to demonstrował — zaśmiała się.

— Racja, znikajmy stąd.

Reece chwycił bagaż Lauren, a drugą ręką ujął ją pod ramię, splatając jej palce ze swoimi. Z radosnym niedowierzaniem stwierdził, że jest szczęśliwy jak wtedy, gdy był małym chłopcem i w Boże Narodzenie Święty Mikołaj przyniósł mu wymarzony model jachtu. Obecność Lauren, bliskość jej ciała, doprowadzały go do szaleństwa. W pośpiechu wrzucił walizkę do auta. Niecierpliwie przepychał się przez świąteczne korki i z ulgą wcisnął gaz, gdy wydostali się na autostradę. Przez cały czas rozmawiali. Reece opisywał straszne dni spędzone w Ekwadorze, a Lauren opowiadała mu o sztuce, na której była, o przeczytanych książkach, o rzeźbach, które stworzyła. Słuchał, zafascynowany jej szczególnym, emocjonalnym i zarazem wnikliwym spojrzeniem na świat.

Ostatni odcinek wąskiej drogi, prowadzący do bramy posiadłości, pokonywał z bijącym sercem. W zapadającym zmroku zamajaczyła przed nimi wielka, stylowa rezydencja. Widząc, że Lauren na jej widok otwiera szeroko oczy, powiedział szybko:

— Pewnie będziesz wolała domek myśliwski. Jest o wiele bardziej przytulny.

Skręcił w wąską, obsadzoną brzoza aleję, kończącą się podjazdem przed kamiennym, obrośniętym winoroślą domkiem z czerwoną dachówką. Na dębowych drzwiach wisiał świąteczny wieniec. Lauren westchnęła z zachwytu.

— O, ten mi się podoba.

— Tak właśnie myślałam. Moja gospodyni, Hazel, szykuje już dla nas kolację. Chodźmy. Umieram z głodu. Ty pewnie też.

Hol był pięknie udekorowany jemiołą i ostrokrzewem. W polerowanej boazerii z ciemnego dębu odbijał się blask kutego kandelabru. Reece poprowadził Lauren do salonu, gdzie na kominku wesoło buzował ogień. W rogu stała choinka, jeszcze nieubrana, a pod nią pięknie opakowane pudełko.

— Mam nadzieję, że pomożesz mi jutro przybrać to drzewko? — zapytał nieśmiało, wstydząc się dzieciennych sentymentów, które go nagle opadły. — Specjalnie zakazałem Hazel to robić.

Lauren aż klasnęła w ręce. I ona zachowywała się jak duże, zachwycone dziecko. — Jasne, zawsze uwielbiałam to robić! Jaki miły jest ten pokój, Reece. Też lubił atmosferę tego salonu, ze staromodnymi meblami, regałami pełnymi książek i oknami wychodzącymi na ogród.

— Cieszę się. Daj mi płaszcz, powieszę go. I muszę zająć się bzami, bo zaraz zwiędną.

— Gdybym znała cię lepiej, powiedziałabym, że jesteś dziwnie spięty — stwierdziła nagle, przyglądając mu się spod oka.

Miała rację, sam czuł się jak smarkacz, który paplaniną chce odwrócić uwagę pani w klasie. Coraz silniej brał go we władanie emocje, których nawet nie próbował nazwać.

— Zaraz będzie kolacja — bąknął. Lauren spojrzała na niego hardo.

— Dajmy sobie spokój z kolacją. Lepiej włożmy te bzy do wody i chodźmy do łóżka.

Prowokującemu tonowi przeczyły dłonie, nerwowo zaciskające się na gałązkach kwiatów. Reece poczuł, że wzruszenie dławi go w gardle.

— Masz rację, Lauren, już dawno powinniśmy tam być. Daj mi bez.

Schowwała bukiet za siebie obronnym gestem.

— Nie, chcę, żeby stał w sypialni.

W kuchni wsadzili kwiaty do srebrnego wazonu i po stromych schodach ruszyli na górę.

Okna sypialni również wychodziły na ogród i piękne stare dęby, ocinające dom. Wielkie, wiktoriańskie łoże i kominek z ozdobną kratą dopełniały staroświeckiego uroku tego miejsca.

Lauren znikła w łazience. Kiedy Reece rozpałił kominek i zaczęły trzaskać płomienie, towarzyszył im szum wody wlewanej do wanny. Przysiadł na krawędzi łóżka i zaczął się rozbierać.

— Chcesz, żebym ci umył plecy? — zawołał, zdejmując krawat. W odpowiedzi usłyszał plusk i śmiech.

— Pewnie, ale pod warunkiem, że masz na sobie tyle ubrania, co ja.

Zachichotał i szybko pozbywszy się reszty garderoby, wszedł do łazienki. Lauren popatrzyła na niego spośród śnieżnych kłębow piany i powolnym gestem uniosła ręce, upinając włosy. Okrągłości piersi kusząco wyłoniły się z wody. Reece rzucił się na kolana przy wannie, ujął w dłonie jej twarz i zaczął zachłannie całować, jakby chciał w jednej chwili nasycić długą, wielotygodniową tęsknotę. Drżącymi rękami przeciągnął po krągłym, kobiecym ciele, na nowo rozpoznając znajome kształty.

Nie pamiętał, w jaki sposób znaleźli się nagle w sypialni, gdzie na suficie tańczył blask płomieni. W następnej chwili leżeli na wielkim łożu. Czuł pod sobą Laure, czuł miękki dotyk jej piersi i pocałunki, które rozpałaly mu zmysły. Kobiece dłonie, szybkie jak ptaki, śmigaly po jego skórze, poganiane cichymi, namiętnymi okrzykami, które brzmiały w uszach Reece'a jak najpiękniejsza muzyka.

Dokonywał nadludzkich wysiłków, aby, odwzajemniając pieśczoty, wytrzymać jak najdłużej w oczekiwaniu na najpiękniejszą chwilę. Gdy nadeszła, Lauren oznajmiła ją głośnym, ekstatycznym krzykiem najwyższej rozkoszy. Reece, ciężko dysząc, spełniony i niebotycznie szczęśliwy, zanurzył twarz w jej włosy.

Czuł, jak obejmują go miękkie ramiona, czuł bicie drugiego serca tuż obok swojego.

— Wesołych Świąt, Lauren — powiedział.

— To miał być mój prezent?

— Ależ skąd! Przecież jeszcze nie pora. Nawet nie ubraliśmy choinki.

— I tak czuję się, jakby dostała coś pięknego — mruknęła, przeciągając się jak zadowolona kotka.

Zsunął się z niej i ułożył obok, obejmując ciasnym uściskiem. Czy to jest miłość? — pytał sam siebie. Skąd miał wiedzieć? Przecież nigdy nie był zakochany.

Stopniowo oddechy cichły, a rytm serc zwalniał. Zaczęła ogarniać ich błoga, leniwa senność.

— Zaśniemy teraz, dobrze? — powiedział. — Jutro musimy ubierać choinkę.

— Tak, Reece — szepnęła, przymykając oczy. — Spijmy. Dobranoc.

Nie powiedziała nic o miłości, pomyślał. Udało mu się uwolnić jej ciało, ale nie duszę. Zgasił światło i jeszcze przez chwilę wpatrywał się w gasnące węgle na kominku. Wreszcie przytulił Lauren mocniej i jego także ogarnęła miękka ciemność nocy.

W świąteczny poranek Lauren obudziła się późno. Przez kilka chwil leżała nieruchomo, nasłuchując, jak Reece cicho porusza się na dole. Kochali się jeszcze raz nad ranem, w milczeniu, odgadując swoje potrzeby z wyczuciem, którego nie mieli jeszcze dzień wcześniej. Okazał się wymarzoną, czułym i subtelnym kochankiem. Czy o tym marzyła? Z pewnością tak — a jednak czuła niedosyt i podskórny niepokój.

Poprzedniego dnia dekorowali drzewko ozdobami, które Reece pamiętał z dzieciństwa, a o północy poszli na świąteczne nabożeństwo do starego normańskiego kościółka.

Słyszała, jak Reece wchodzi na górę po skrzypiących schodach. Wszedł z tacą, bosy, ubrany tylko w dżinsy, i wesoło zaanonsował śniadanie. Przyniósł jej do łóżka kawę ze śmietanką, świeże truskawki i brzoskwinie oraz gorące croissanty.

— Mężczyzna kuchenny — skomentowała z humorem. — Cenny nabytek!

— Co to za filozofia włożyć zamrożone bułki do kuchenki mikrofalowej i przyrządzić kawę — uśmiechnął się z dobrze udawaną skromnością.

Jedli leniwie, a potem ubrali się i zeszli na dół, aby włożyć do pieca indyka, przygotowanego przez nieocenioną Hazel. Gdy zaczął się piec, Reece rozpałił kominek, zapalił lampki na choince i dla dopełnienia nastroju nastawił kolędy. Nadszedł czas na prezenty.

Lauren niecierpliwie rozdarła papier na płaskiej paczuszce i wyjęła oprawioną w drewnianą ramkę fotografię, przedstawiającą skalistą plażę z cedrami rosnącymi w głębi. Nad wodą stała kobieta, kontemplująca w zamyśleniu stos drzewa, wyrzuconego przez fale.

— Ależ to jestem ja! — stwierdziła z zaskoczeniem.

— Zrobiłem je pod koniec naszej kajakowej wyprawy, pamiętasz?

— Piękne zdjęcie.... i ta ramka. Sam ją zrobiłeś?

— Tak, w szkole bawiłem się rzeźbieniem w drewnie. To kawałek dębowej deski z wraku,

którą znalazłem kiedyś na wybrzeżu w Maine. Pomyślałem, że ci się spodoba.

— Jest rewelacyjna — powiedziała, całując go czule. — A teraz zobacz, co Mikołaj przyniósł dla ciebie.

Reece otwierał swój prezent z równym zapałem. W pudełku, owinięta papierem, spoczywała mała drewniana rzeźba — kawałek korzenia, wygładzonego przez morze, obrobionego na kształt fali, z której wyłaniały się zwinne ciała trzech wielorybów. Długo podziwiał ją w milczeniu.

— Mieliśmy podobne intuicje — szepnął.

— Z początku nie chciałam dawać ci rzeźby, bo to byłoby zbyt oczywiste, ale w jakiś sposób czułam, że ten kawałek należy się tobie. — Urwała na moment, a potem dodała impulsywnie: — Nieważne, co stało się wtedy w jachtklubie. Zapomnijmy o tym. Myliłam się co do ciebie, i to bardzo.

Wizja skaczących wielorybów na chwilę przesłoniła myśli Reece'a.

— Wybaczyłeś mi....

— Oczywiście, że tak.

— Gdybym jeszcze ja mógł wybaczyć sobie to, co stało się z Cleą.

— Och, Reece. — Lauren zarzuciła mu ramiona na szyję. — Poszłam do biblioteki i przeczytałam wszystko o tej potwornej tragedii. Ale nie było w tym wcale twojej winy, przecież równie dobrze sam mogłeś zginąć. Nie ma obrony przeciw ślepej agresji.

Westchnął ciężko i pokiwał głową.

— Masz rację. Rozum mówi mi to samo, jednak emocje krzyczą co innego. Ciągle myślę, że żyłaby, gdybym nie zostawił jej wtedy na chodniku.

— Teraz rozumiem, dlaczego pojechałeś do Ekwadoru

— powiedziała Lauren w zamyśleniu, — Chciałeś pomóc porwanym ludziom, gdyż czułeś się odpowiedzialny za ich los. Usiłowałeś zrekompensować tragiczne zaniedbanie, które popełniłeś w przypadku siostry.

— Pewnie masz rację, chociaż nie myślałem o tym w ten sposób — przyznał. — Tak, czułem się za nich odpowiedzialny.

— Jesteś dobrym człowiekiem — powiedziała ciepło, nieśmiało. I ze zdumieniem zobaczyła, że Reece się czerwieni. Dopiero teraz pojęła, jak bardzo głębokie muszą być jego rany i urazy, i że nie zdoła uzdrowić tego człowieka tak szybko, jak on uzdrowił ją.

— Bardzo mi się podoba twój prezent — powiedział szorstko, urywając temat. — A teraz proponuję, żebyś napiła się szampana i zakąsiła łososiem.

— Zgoda, pod warunkiem, że przed kolacją pójdziemy na spacer — odparła przekornie. Cudowny, świąteczny nastrój wrócił.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W trzy dni po Bożym Narodzeniu tak lało, że pozostało im tylko siedzenie przy kominku. Lauren czytała powieść wziętą z półki, a Reece przeglądał prasę ekonomiczną.

— Zainwestowałaś już pieniądze ze sprzedaży domu w Maine? — zagadnął. — Jeśli nie, widzę tu interesujące oferty.

Zawahała się, ale postanowiła powiedzieć prawdę.

— Przekazałam całą sumę na konto organizacji w Chicago, która zajmuje się dziećmi ulicy.

— Co? — gwałtownie odłożył gazetę.

— Sprawdziłam, to bardzo porządna organizacja. Zrozum, nie mogłam zrobić nic innego z dolarami, które pochodziły z nieuczciwych kombinacji.

— Ale...

— Reece, nie będziemy się kłócić z powodu pieniędzy!

Już miał odpowiedzieć, lecz w holu rozdzwonił się telefon. Zerwał się, żeby go odebrać. Lauren znów ścisnęło się serce.

— Do ciebie — powiedział, wracając z nachmurzoną miną. — Twoja agentka.

— Beth? Jak mnie tu znalazła? — zdziwiła się.

— Hej, Lauren — głos Beth w słuchawce brzmiał energicznie jak zwykle. — Dostałam twój telefon od gospodarza domu, kiedy przysięgłam mu na wszystkie świętości, że mam dla ciebie świetną wiadomość. Posłuchaj, kurator nowego muzeum sztuki, wiesz, Maxwell Galway, jest bardzo zainteresowany twoją najnowszą pracą. Niestety jutro wyjeżdża do Japonii. Możesz zaraz przylecieć?

Lauren wahała się, ściskając w rękę słuchawkę. Ten moment mógł być przełomem w jej karierze, bowiem dla artysty nie ma większego zaszczytu, niż zakupienie jego dzieła przez muzeum. Ale co z Reece'em?

— Lauren, nad czym się zastanawiasz? Drugiej takiej szansy może już nie być! — denerwowała się Beth. Jako agentka miała okazję zyskać renomę na prestiżowej transakcji. — Załatwiał lot i pakuj się.

Lauren poczuła przypływ irytacji.

— Słuchaj, jestem teraz u przyjaciela i nie mogę oddelegować się stąd bez słowa.

Poczekaj, oddzwonię do ciebie za chwilę.

Odłożyła słuchawkę i powoli ruszyła do salonu. Beth miała rację. Musi lecieć do Nowego Jorku. Wzięła głęboki oddech i stanęła przed Reece'em.

— Muszę lecieć do domu — oznajmiła szybko. — Maxwell Galway to jedno z największych nazwisk na nowojorskim rynku sztuki. Chce kupić moją pracę do muzeum. Byłabym ostatnią idiotką, gdym nie skorzystała z jego oferty.

— Chcesz, żebym załatwił ci bilet? — Reece pokiwał głową z podejrzaną naburmuszoną miną. — Rozumiem, sztuka nade wszystko.

— Więc ty możesz nagle odlecieć służbowo do Ekwadoru czy Londynu, a ja nie mogę do Nowego Jorku? — zaperzyła się. — Biznes nade wszystko?

— To były jednorazowe sprawy, a ja widzę, że zawsze będę w twoim życiu na drugim miejscu, po rzeźbach i galeriach. Nie przywykłem do czegoś takiego.

— Czy musisz stawiać sprawę na ostrzu noża? Nie rozumiesz? Jestem kobietą i artystką jednocześnie. Nie da się oddzielić tych ról.

— Dobrze, zajmę się rezerwacją. Lauren zdawała się nie słyszeć.

— Więc mężczyźni mogą łączyć bliskie związki i karierę, a kobiety nie? Doprawdy, myślałam, że masz mniej staroświeckie poglądy.

— Po prostu nie lubię być odstawiany do kąta w chwili, gdy na tapetę wchodzi świat sztuki.

— Zamień sztukę na biznes, a będziesz wiedział, czego ja nie lubię! — odparowała wściekle i wybiegła, aby spakować bagaże.

Słyszała dobiegające z holu urywki rozmowy. Po dziesięciu minutach Reece wrócił i oznajmił:

— Załatwiłem ci ostatnie miejsca na jutrzejszy poranny lot, zarezerwowałem też pokój w hotelu. I pamiętaj, za pięć dni chcę widzieć cię tu z powrotem.

— Nie możesz polecieć ze mną?

— Mogę wiele, ale nie stworzę dodatkowego fotela w samolocie. Na nieszczęście oba samoloty mojej spółki są zajęte.

Teraz dopiero poczuła, na co się decyduje.

— Będę za tobą tęsknić — powiedziała cicho.

— Będziemy do siebie dzwonić. Poza tym mamy jeszcze dzisiejszą noc. A teraz

jedźmy...

Hotel okazał się tak luksusowy, jak mogła sobie tylko wyobrazić. Reece od razu zaszył się w łazience. Tym razem nie zapraszał jej pod prysznic. Lauren, wypakowując rzeczy, zauważyła, że zostawiła na wsi szczoteczkę do zębów. Szybko narzuciła płaszcz, chwyciła torebkę i zostawiwszy kartkę Reece'owi, wybiegła do nocnej apteki za rogiem.

Miała ochotę wyjść z tego pełnego przepychu wnętrza, być sama ze sobą choćby przez parę chwil. Czuła, że zbliża się przełomowy moment w ich znajomości. Coraz niecierpliwiej oczekiwała odpowiedzi na pytanie, czyjej osoba mieści się na stałe w planach życiowych tego mężczyzny i czy naprawdę go kocha. A może już знаła odpowiedzi, lecz obawiała się ich?

Przebiegła szybko po zadeszczonym chodniku, kuląc się pod parasolem. Apteka była prawie pusta. Kupiła szczoteczkę i ruszyła z powrotem. Zatopiona w myślach, nie zauważyła młodego człowieka, który wyszedł zza rogu i podążył za nią jak cień.

Cios spadł z ciemności, niemal gruchocząc jej ramię. Krzyknęła i upuszczając torebkę, zatoczyła się na ścianę domu. Pręty parasola ugięły się, skrobiąc po murze, gdy drugi cios, w twarz, posłał ją na ziemię. Z początku nie czuła bólu, ale kiedy usiłowała się podnieść z klęczek, z jękiem zagryzła zęby.

— Proszę pani! Co się stało? Wszystko w porządku? Jakiś zatroskany mężczyzna pochylał się nad nią.

Ściągnął podniszczoną, skórzaną kurtkę i zasłonił Lauren przed deszczem. Drugą ręką usiłował zbadać jej policzek.

— Niech pani się trzyma, kumpel zaraz wezwie policję — powiedział, uśmiechem dodając jej otuchy.

— Proszę... tylko nie policja — wyjąkała.

— Jak to, przecież panią napadnięto! Dobrze, że ten gość nie miał broni.

Broń. Clea. Krew na ulicy. Nie zafunduje tego Reece'owi, nie może.

Policyjny wóz na sygnale, błyskając światłami, zaparkował przy krawężniku. Funkcjonariusz ukląkł przy niej, zbadał szybko, a potem pomógł wstać, zaprowadził do wozu i zasypał gradem standardowych pytań. Przez gęstniejący tłumek gapiów przepchał się wysoki mężczyzna, którego znała aż za dobrze.

— Lauren, na Boga, co się stało? Lauren, odpowiedz!

— Ktoś mnie napadł i zabrał torebkę — odpowiedziała słabym głosem.

— Jestem z tą panią i zabieram ją do hotelu. Tam sprowadzę lekarza — oznajmił władczo Reece. — Czy panowie mają już wszystkie niezbędne informacje?

W chwilę później, wsparta na jego ramieniu, kuśtykała przez hol, ścigana spojrzeniami służby i gości. Wcześniej zdążyła tylko podziękować swoim wybawcom.

W pokoju Reece ściągnął z niej mokry płaszcz, posadził na fotelu i natychmiast wezwał lekarza.

— Możesz wyjąć z kieszeni szczoteczkę do zębów? — poprosiła.

— Po co chodziłaś do tej cholерnej apteki? — sarknął. — Przecież szczoteczki są w każdej hotelowej łazience. Nie przyszło ci to do głowy?

— Wiem, jestem głupia. Bardzo cię przepraszam za tę krew i...

— Jak myślisz, jak się czułem, kiedy wyszedłem z wanny i zobaczyłem kartkę, a potem nie wracałaś? — wycedził z furją. — A kiedy wyszedłem i zobaczyłem policję, byłem pewien, że to już koniec.

Ramię rwało, a policzek palił ogniem.

— Jakoś przeżyłam — westchnęła. — Wiem, przypomniła ci się Clea i cały ten koszmar. Okropnie mi głupio i przykro. Ale błagam, nie myśl, że zrobiłam to celowo. Nie wiedziałam, że londyńskie ulice są tak niebezpieczne.

— Owszem, przypomniła mi się Clea — stwierdził cierpko. — I krew na chodniku. Dlatego z nikim nie będę blisko. Bo kiedy coś się stanie, ból jest nie do zniesienia. Przez moment chciałem o tym zapomnieć, ale nigdy więcej to się nie zdarzy. Leć sobie do Nowego Jorku i nie martw się o mnie.

Lauren miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

— Chcesz powiedzieć, że już się nie zobaczymy?

— Tak będzie lepiej, Lauren. Zróbmy to, zanim skrzywdzimy się jeszcze bardziej.

Zapukano do drzwi. Wszedł doktor, jowialny, siwy pan. Po dokładnym zbadaniu zalecił okłady z lodu i zostawił środki przeciwbólowe. Kiedy wyszedł, Lauren marzyła już tylko o prysznicu i o łóżku. Ale nie pozwoliła Reece'owi iść z sobą do łazienki. Zaniknęła drzwi i spojrzała na siebie w lustrze. Smużka zaschniętej krwi znaczyła twarz, która była biała jak prześcieradła na hotelowym łóżku.

Ostatnim łóżku, jakie miała dzielić z Reece'em.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Zegarek pokazywał piątą nad ranem. Lauren z udręką przewróciła głowę na poduszce. Sen nie nadchodził. Czuła się pusta i nieskończenie samotna. Od tygodnia nie miała żadnych wiadomości od Reece'a. Wszystko skończone. Byli ze sobą, a teraz jej nie chce.

W końcu, nie mogąc znieść obsesyjnie nawracających myśli, wstała o wpół do szóstej, ubrała się, nastawiła kawę i zaczęła rozglądać się po pracowni, szukając inspiracji. Nagle przypomniała sobie o bryle rzeźbiarskiej gliny, którą kupiła przed świętami. Lubiła ten klasyczny materiał. Z zapalem przepasała się fartuchem i zabrała się do pracy.

Dzieło tworzyło się same, niemal bez jej udziału, przybierając formę popiersia Reece'a. Było tam wszystko — jego energia i polot, poparte wzywającą linią kości policzkowych i szczęki. Zdawał się patrzeć prosto na nią, odkrywając najbardziej intymne uczucia. Jak to, że go kocha. Bo tak właśnie czuła.

— Kocham Reece'a Callahana — powiedziała na głos. Poznała tę prawdę w dniu, gdy rozmawiała z Maxwelllem Galwayem w sprawie zakupu rzeźby. Parę miesięcy temu skakałaby do sufitu z radości z powodu tego kontraktu, lecz teraz zbierało się jej na płacz, bo nie mogła podzielić się tą nowiną z Reece'em. Z mężczyzną, który nigdy jej nie kochał.

Czyżby? Przypomniała sobie po kolei chwile, gdy zza maski złości czy obojętności z jego oczu wyglądał inny, dziwny wyraz. I dlaczego tam, w migającym blasku policyjnych świateł, chował ręce w kieszenie? Nie chciał jej pokazać, jak drżą? Czyżby odrzucił ją wtedy od siebie, aby uchronić się przed miłością? Jaka jest prawda? Musi to wiedzieć. Musi, i to natychmiast!

Serce tłukło się jej w piersi, kiedy sięgnęła po słuchawkę i wystukała numer Sama w jego bostońskim biurze.

— Sam — zaczęła bez wstępów — myślisz, że jest szansa, by Reece mnie pokochał?

— Po pierwsze życzę ci szczęśliwego Nowego Roku. A po drugie — tak, jak najbardziej.

— Naprawdę?

— Rozmawiałem z nim parę dni temu... pytał o ciebie. A co się właściwie stało?

Opowiedziała mu pokrótce.

— Może wiesz, gdzie teraz jest? — zapytała z nadzieją.

— W Anglii. Siedzi w Surrey, a pod koniec tygodnia ma lecieć do Hongkongu. Może zadzwonisz do niego i zapytasz, jak jest z tą miłością?

— Nie, musiałabym widzieć jego twarz.

— Miałem dzisiaj po południu lecieć do Londynu, ale naradę przełożono na inny termin, a jeszcze nie zdążyłem odwołać lotu. Mogę ci odstąpić bilet.

— Jesteś wielki! — ucieszyła się Lauren.

— Chcesz, żebym do niego zadzwonił?

— Nie, sprawię mu niespodziankę.

Zapadał zmrok, kiedy Lauren wysiadła z taksówki przed posiadłością Reece'a. Samochód odjechał i zapadła cisza, przerywana szelestem gałęzi poruszanych wiatrem. Ponure sylwety dębów rysowały się na ciemniejącym niebie. Kiedy przeszła przez bramę, zobaczyła w oddali światło na ganku myśliwskiego domku. A więc Reece był u siebie!

Zastukała w dębowe drzwi. Równie głośno stukało jej serce.

— O, panna Courtney, co za niespodzianka — rozpromieniła się Hazel, gościnnie otwierając drzwi.

Lauren z trudnością ukryła rozczarowanie.

— A... nie ma pana Callahana?

— Proszę wejść, na dworze jest zimno. — Gospodyni wyjęła jej bagaże z ręki i poprowadziła do salonu. — No więc pan Callahan wyjechał wczoraj rano do Londynu. Mówił, że ma lecieć do Stanów.

— Wczoraj?

— Tak, coś tam ponoć miał pilnego, ale nie mówił, co. Dobrze się czujesz, kochana?

— N... nic mi nie jest — wyjąkała Lauren. Hazel z troską podsunęła jej krzesło.

— Niech pani się u nas prześpi, a ja zadzwonię do biura pana Callahana i sprawdzę...

— Nie, nie trzeba. — Lauren ocknęła się ze stuporu.

— Dobrze — gospodyni zerknęła na nią badawczo — ale w takim razie ulokuję panią tu, w gościnnym pokoju i nakarmię, a potem wrócę do dużego domu. Tom, mój mąż, wpadnie do pani rano.

— Świetnie, dziękuję. — Kobieta wprawdzie była przemiała, ale Lauren marzyła, aby wreszcie zostać sama.

Nie rozpakowała walizki, za to sięgnęła po pudło, które przytасzczyła ze sobą. Wyjęła z niego popiersie Reece'a, ustawiła na stoliku do kawy i usiadła przed nim. Wpatrywała się w

gliniane rysy, jakby chciała odczytać z nich odpowiedź. W końcu, zmęczona, opadła na poduszki kanapy. Majaczyła w półśnie i liczyła mijające godziny, wybijane przez antyczny zegar na kominku. Dwunasta, pierwsza...

Podskoczyła, słysząc zgrzyt klucza w zamku i ciche, zbliżające się kroki.

— Lauren? Gdzie jesteś? — zawołał Reece.

— W salonie. — Skąd wiedział, że przyjechała? Gorączkowo chwyciła popiersie i usiłowała je upchnąć pomiędzy stołem a sofą.

— Co tam chowasz?

Jego nagłe pojawienie się w środku nocy i wrażenie, jakie na niej to wywarło, zadziałały jak oszałamiająca dawka alkoholu, rozwiązując jej język.

— Stworzyłam to i przyjechałam, aby ci powiedzieć, że cię kocham, ale nie powinnam tego robić, bo byłeś wczoraj w Stanach i nawet się do mnie nie odezwałeś... więc zrobiłam z siebie idiotkę.

Podszedł do niej. Miał na sobie elegancki garnitur i krawat, lecz wyglądał na śmiertelnie zmęczonego.

— Nie podchodź do mnie! — wykrzyknęła, dystansując się obronnym gestem.

— Przecież mnie kochasz.

Gwałtownym gestem wcisnęła mu w rękę popiersie.

— Tak myślałam, kiedy to powstawało. Mam głupi zwyczaj najpierw działać, a potem myśleć, ale więcej już nie popełnię tego błędu.

Reece długo oglądał swoją glinianą podobiznę.

— Kiedy widziałaś mnie takim?

— Kiedy się kochaliśmy — odparła wyzywająco.

— Zobaczyłaś coś, czego nie widziałem.

— Jak to?

— Po naszym rozstaniu poleciałem do Kairu. Ani na moment nie przestałem myśleć o tobie. Wróciłem, ale nie mogłem usiedzieć i pojechałem do Londynu. Chyba przedwczoraj... nie wiem, jestem nieprzytomny z powodu tych ciągłych zmian stref czasowych. — Nerwowo przecesał palcami czuprynę. — Zatrzymałem się w tym samym hotelu, w którym byliśmy, i znów szalałem. Wczoraj poleciałem do Nowego Jorku. Nie było cię w pracowni i nikt nie wiedział, gdzie nagle zniknęłaś. Dopiero kiedy zadzwoniłem do Sama, powiedział mi wszystko.

— Hazel mówiła mi, że wyleciałeś do Stanów przedwczoraj, dlatego tak się zdenerwowałam.

— Sam nie wiem, co mówiłem. — Znów zerknął na rzeźbę. — Prawda zawsze była we mnie, ale zobaczyłem ją dopiero teraz. Wcześniej pracowicie chroniłem się przed najpiękniejszymi uczuciami świata. Przed bólem i radością. Wiesz, co przyszło mi do głowy w hotelu, w środku nocy?

Lauren pokręciła głową. Miała zbyt ściśnięte gardło, by mówić.

— Że Clea byłaby pierwszą, która chciałaby, abym ciebie pokochał. Jestem pewien, że sama pokochałaby ciebie jak rodzoną siostrę.

— Nie mów tak, bo będę płakać — zachlipała Lauren.

— Zachowałem się jak idiota w sprawie twojego czeku i kontraktu z Galwayem — ciągnął bezlitośnie. — Czułem, że zakochuję się w tobie, i histerycznie chciałem się wycofać, zanim będzie za późno. Napad na ciebie był świetnym pretekstem. Koniec, ty znikasz, a ja wracam do bezpiecznego, sprawdzonego życia.

Uczył gest, jakby chciał ją objąć, ale powstrzymał się.

— Kocham cię, Lauren — powiedział z ogromną powagą. — To właśnie usiłuję ci przekazać w ten głupi i nieporadny sposób.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

— Tylko mi nie mów, że zaraz się obudzę w swoim pustym domu i w pustym łóżku. Powiedz, że to nie sen, proszę...

— Nie, Lauren. Kocham cię, naprawdę.

Wstała i weszła prosto w jego czekające ramiona.

— Ja też cię kocham, Reece. Trzymaj mnie mocno i nie wypuszczaj.

— Nigdy cię nie wypuszczę — obiecał, tuląc ją z drzeniem, jak odzyskany skarb. — A na nasz ślub zaprosimy Sama i jego nową dziewczynę...

— Ślub? — Lauren popatrzyła mu w oczy. — Reece, czy ty wiesz, co mówisz?

— Wiem — potwierdził z radosnym uśmiechem. — Wyjdiesz za mnie, Lauren?

— Tak! Tak! Och, tak!